ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 2. 11. I. 1936 R.



w numerze:

HELEN GAHAGAN w filmie „Czarownica"
fot. R. K. O. Radio.

Mark Twain w anegdocie

W pewnem towarzystwie, w którem obecny był również Mark Twain, rozmowa toczyła się na temat pierwszych zarobków wielkich ludzi.

Ktoś zwrócił się do Marka Twaina z pytaniem.

— Czy przypomina pan sobie, w jakich okolicznościach zarobił pan po raz pierwszy pieniądze?

Wielki kpiarz ściągnął w zamyśleniu brwi i odparł po krótkim namyśle:

— Owszem, przypominam sobie i to nawet bardzo dokładnie. W szkółce, do której chodziłem, będąc małym chłopcem, kara cielesna odgrywała nader doniosłą rolę. Jeśli uczeń naprzykład uszkodził ławkę, albo rozlał atrament, słowem, jeśli coś nabroił — dostawał rózgi. Od kary tej jednak można było się wykupić kwotą pięciu dolarów.

Pewnego razu i ja znalazłem się w tem przykrem położeniu. Powróciwszy do domu ze szkoły, opowiedziałem o tym smutnym fakcie ojcu.

Ojciec mój zrazu uniósł się gniewem.

— Skoro nabroiłeś, musisz ponieść karę. Dostaniesz w szkole rózgi.

Ale jeszcze tego samego wieczoru doszedł do przekonania, że jednak publiczna chłosta nie jest odpowiednim środkiem wychowawczym. Nad ranem dał mi więc, klnąc, owe pięć dolarów.

I to był właśnie mój pierwszy zarobek.

*

Kiedy Mark Twain był uczniem w owej szkółce, nauczyciel zadał kiedyś klasie wypracowanie na temat: „Jakie są skutki lenistwa".

Mark Twain oddał niezapisany zeszyt.

*

Mark Twain był w młodości przez pewien czas redaktorem jakiegoś pisemka w stanie Dakota.

Pewnego razu jakiś początkujący poeta nadesłał swe wiersze do oceny, zapytując jednocześnie, czy to prawda, że spożywanie ryb wpływa dodatnio na rozwój umysłowy.

Mark Twain udzielił następującej odpowiedzi w dziale „Pogawędki z czytelnikami":

„Istotnie, mięso ryb jako zawierające fosfór działa nader korzystnie na rozwój umysłu. Sądząc jednak po nadesłanych przez pana utworach, powinien pan stanowczo zjadać codziennie porcję składającą się conajmniej z dwu wielorybów średniej wielkości".

*

Innym razem Mark Twain otrzymał wzruszający wiersz liryczny p.t.: „Dlaczego żyję?".

Twain odpowiedział:

— Pyta się pan, dlaczego pan żyje. Otóż dlatego, że nadesłał pan nam ten wiersz przez pocztę.

*

W którymś artykule zamieszczonym w swoim dzienniku Mark Twain naraził się miejscowemu dygnitarzowi i został skazany za obrazę osoby urzędowej na osiem dni aresztu. Kiedy po jakimś czasie ktoś zapytał go o wrażenia, jakie wyniósł z pobytu w więzieniu, pisarz odpowiedział:

— Drogi przyjacielu, jeśli się dobrze rozejrzeć w więzieniu, wówczas dochodzi się do przekonania, że i tam są niestety łotry i szubrawcy — jak wszędzie na świecie.

*

Pewnego razu jakaś młoda dama zapytała Twaina, jakie książki uważa za najbardziej wartościowe.

— Mój Boże, — odparł słynny humorysta — zadała mi pani nader delikatne pytanie, wartość bowiem książek zależy wyłącznie od tego, jaki pożytek można z nich osiągnąć. Tak więc np. ładnie oprawiona w skórę książka wyświadcza mi wprost nieocenione usługi, mogę bowiem wecować na niej brzytwę. Niezbyt grube książki — jakie np. piszą przeważnie Francuzi — nadają się doskonale do podpierania kiwających się stołów. Gruby foljałt stanowi cenną broń w razie napadu, można bowiem kropnąć nim przeciwnika po głowie. A wreszcie duży solidny atlas geograficzny stanowi cenny przedmiot, gdy chodzi o zasłonięcie okna ze stłuczoną szybą....

Powiedziawszy to z niewzruszoną powagą, Mark Twain wykręcił się na pięcie i wyszedł z pokoju, pozostawiając skamieniałą ze zdumienia interlokutorkę.

*

Będąc niemłodym już człowiekiem, Mark Twain musiał odbyć kiedyś dłuższą podróż parostatkiem wdół rzeki Missisipi. Przybywszy, niemal w ostatniej chwili na przystań, dowiedział się z przykrością, że wszystkie miejsca na statku są już zajęte.

W tej ciężkiej opresji przyszedł Twainowi z pomocą pewien młody uczynny major, który chętnie zgodził się odstąpić znakomitemu pisarzowi część swojej kabiny.

— Byłem tem wielce ucieszony —zwierzał się potem Twain jednemu ze swych przyjaciół — ów młody oficer był bowiem majorem Armji Zbawienia, a na imię mu było M a r y.

*

Mark Twain otrzymał kiedyś od przyjaciela z lat dziecinnych list następującej treści:

— Słyszałem, że powodzi ci się doskonale. Cieszę się, że mogę ci o sobie to samo donieść. Twój dawny kolega szkolny George".

W kilka dni potem ów George otrzymał nieofrankowany pakiet pocztowy o wadze conajmniej dwuch kilo. Zaintrygowany ciężarem i objętością paczki, uiścił bez wahania koszty przesyłki wraz z dopłatą i otworzył paczkę.

Wypadł z niej sporej wielkości kamień oraz liścik o następującem brzmieniu:

— Stary druhu! Oto kamień, który spadł mi z serca, kiedy się dowiedziałem, po otrzymaniu Twego listu, że i Tobie powodzi się doskonale.

Twój przyjaciel z ławy szkolnej. *Mark Twain.*

(Przeł. M. Gł.)



Najmłodsi już lepią bałwany.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 2 11.I.1936

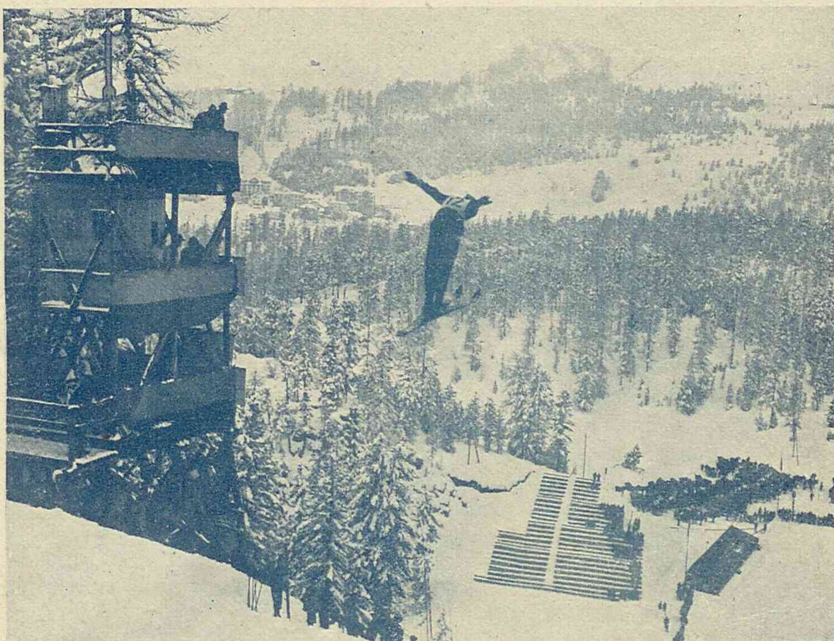
ROZKOSZE ZIMY W ST. MORITZ



Księżniczki Greckie, zapalone narciarki, wracają z wycieczki w okolice St. Moritz.



Douglas Fairbanks z żoną, dawną lady Ashley (pierwsza z lewej) — w St. Moritz.



Na skoczni w St. Moritz odbyły się zawody, w których zwyciężył Józef Lucke, znakomity narciarz austrjacki.

Organizacja

Rozbijamy sobie z rozpaczą głowy o tyle bzdur i szykan urzędowych, że spotkanie się z uprzejmością i dobrą organizacją dziwi nas, cieszy — i zmusza do podawania takich faktów do wiadomości publicznej.

Płatnik przypomniał sobie, że danego dnia upływa termin ważnego podatku. Nie chce mieć antypatycznych wizyt sekwestratora — chce dziś podatek zapłacić. Urząd Skarbowy zamknięty — godzina wpół do siódmej wieczór. Można jeszcze posłać pieniądze przekazem na P.K.O., ale *na upomnieniu z Urzędu Skarbowego nie podano numeru konta Urzędu.* (Notabene jest to stały system Urzędów Skarbowych, które zasadniczo tępią przesyłki przez P.K.O. — i chcą zmusić podatnika do wpłacania pieniędzy bezpośrednio do kasy Urzędu. *Na żadnem wezwaniu z licznej kolekcji, posiadanej w domu, płatnik nie znalazł na upomnieniu numeru konta P.K.O.* A wezwania pochodziły z różnych urzędów — czyli jest to system ogólny. Sygnalizujemy go przy okazji władzom najwyższym P.K.O. Na każdym blankiecie upomnienia znajdują się wprawdzie wydrukowane słowa: *Konto P.K.O.* .... i dalej *nic.* Urząd woli zachować tę wiadomość w tajemnicy).

Płatnik myśli sobie: „P.K.O. nie ma powodu popierania tej tajemniczości, raczej przeciwnie. Jeżeli więc dzisiaj chcę pieniądze wpłacić — może się w P.K.O. dowiem, jakie konto ma Urząd Skarbowy Numer X. Tylko ta nieodpowiednia pora... Wpół do siódmej... W biurach P. K. O. przecież o tej porze urzędowania niema. Chyba jakiś cud wybawi mnie z kłopotu".

Nieśmiały telefon do biura informacji P.K.O. na Jasnej. Zapytanie: „Czy mógłby mi pan powiedzieć, jaki byłby sposób dowiedzenia się *dzisiaj jeszcze* numeru tego konta?"

Przyjemny, fonogeniczny męski głos uprzejmie, bez chwili wahania odpowiada: „Numer tego konta jest taki a taki".

Z pamięci, odrazu, bez męczących odsyłań od Annasza do Kajfasza, bez kontrolowania, kto pyta, jakie ma imię matki i ojca, czy ma świadectwo szczepienia ospy i pozwolenie na broń... (Bo takiemi detalami zatruwają życie „petentowi" wszędzie — tylko nie w P.K.O).

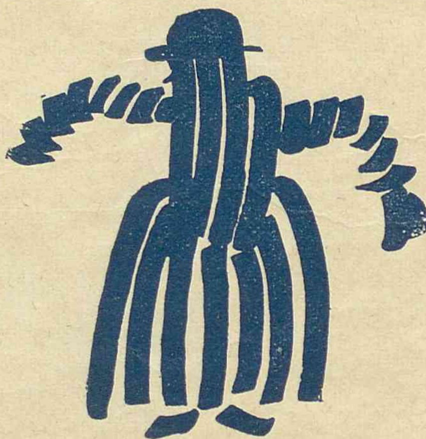
Powiecie: „Im jest łatwo! P.K.O. ma pieniądze, może mieć dobrą organizację".

Odpowiem: „Nonsens. Urzędy Skarbowe wchłaniają przecież *sumy olbrzymie* — i to nie, jak P.K.O., w formie zwrotnej, ale „na wieczne nieoddanie". Urzędy Skarbowe żyją z ludzi, którzy im przynoszą te pieniądze. A mimo to w Urzędach Skarbowych regułą jest nieopisany bałagan, ordynarne traktowanie podatnika, bolesne i niezasłużone szykany, dzikie wymagania „stawienia się osobiście dnia tego a tego", jak w policji i tym podobne udręki. No i najniedołężniejsza, jaką sobie można wyobrazić, organizacja. (Sprobujcie się dowiedzieć o saldo swego konta w Urzędzie — zobaczycie, że nikt nic nie wie).

Możeby tak P.K.O. zorganizowało nam Urzędy Skarbowe w Polsce na zasadach ładu, uprzejmości i wzorowej rachunkowości?

Kosztowne napisy

Piekarnie warszawskie za napis firmy *na każdym furgonie,* rozwożącym pieczywo, płacą rocznie haracz w sumie *od 500 do 1800 złotych.* Za co — djabli wiedzą. Bo napis ten potrzebny jest przedewszystkiem władzom policyjnym, aby się mogły orjentować, do kogo furgon należy. Takiemi szykanami — i to szykanami kosztownemi — prowadzi się do „obniżenia cen chleba" i wogóle kosztów utrzymania...



Zachęta dla złodziei

W Tow. Ubezpieczeń „Piast" wykryto nadużycia, sięgające 280 tysięcy złotych. Jeden z winnych skazany został na 4 lata więzienia *z darowaniem trzeciej części kary na zasadzie amnestji,* drugi — na dwa i pół roku *z darowaniem połowy kary,* trzeci — na dwa lata *z darowaniem połowy kary.*

Obliczmy: pierwszy „posiedzi" 32 miesiące, drugi — 15 miesięcy, trzeci — 12 miesięcy. Razem — 59 miesięcy kary. Czyli że miesiąc więzienia wypada im za każde zrabowane 4.745 złotych.

Nie można narzekać... Niezły i lekko „odpracowany" zarobek. A co użyli, to ich.

Brawo Ubezpieczalnia!

Rzadko nam się zdarza wpaść w zachwyt nad zarządzeniami Ubezpieczalni Społecznej. Ale stał się fakt, który posłużyć winien jako wzór dla wszystkich innych instytucji państwowych.

Władze nadzorcze Ubezpieczalni wydały ostre zarządzenia w sprawie używania samochodów służbowych. Ubezpieczalnia liczyła dotąd ogółem w Warszawie 23 auta, z tych 3 do wyłącznej dyspozycji trzech dygnitarzy naczelnych. Teraz dla całej dyrekcji pozostawiono jedno auto — i wystarczy. Wszystkie inne samochody przeznaczono na potrzeby ubezpieczonych, t. j. na przewóz chorych.

Jeżeli zarządzenie to będzie wykonane skrupulatnie — bardzo pięknie. I inne władze naczelne powinny zastosować te same ostracyzmy. Bo małżonki wcale nie najwyższych dygnitarzy, jeżdżące sobie po domowe zakupy rządowem autem, dzieciaczki dygnitarskie wożone do szkoły „samochodem tatusia", majówki i wycieczki, często połączone z niezdarstwem nowokreowanych (bez prawa jazdy) dygnitarzy-kierowców, przy użyciu rządowego samochodu i rządowej benzyny — to wszystko jest zbyt już jawne i trochę zanadto jaskrawe.

Uparty nurek.

POŁÓW PEREŁ

Lawina kalendarzy

Leży na biurku dziennikarza istny stos kalendarzy na rok 1936. Kalendarze na cele dobroczynne. Cele nawet zacne — ale skromnie zarabiający dziennikarz nie może popierać dwudziestu celów choćby tylko datkami po 5 złotych — bo taka nadetatowa setka poprostu nie istnieje w jego budżecie.

Lawina kalendarzy rośnie. Uprzedzamy, że nie będą przyjęte — niech instytucje, które je przysyłają, zechcą je sobie z powrotem odebrać. Nie myślimy ponosić kosztów porta, dlatego, że komuś podobało się „obdarować" nas niepotrzebnym nam przedmiotem.

Wszystkie kalendarze są do zwrotu. My posiadamy jeden, wycięty z pisma codziennego — gratisowy. Ten musi, niestety, wystarczyć w roku pańskim 1936, roku zaciśnięcia pasa na ostatnią już dziurkę.

W parę godzin po amnestji

Wypuszczenie na wolność przestępców kryminalnych już daje swe rezultaty. Pierwszego zaraz dnia — w parę godzin po opuszczeniu więzienia — pewien „spec" najzupełniej fachowo wyrobiony i wielokrotnie przez sądy polskie za takowego uznany — ukradł w Warszawie sąsiadowi rower, dotkliwie pobił policjantów — i poszedł z powrotem do „mamra".

We Lwowie pewien opryszek złapany został na gorącym uczynku, gdy w parę godzin po odzyskaniu wolności dokonywał właśnie włamania i kradzieży — *w ochronce!* Inny zdążył ukraść z wystawy sklepowej sztukę jedwabiu wartości 400 złotych. W Poznaniu amnestjonowany złodziej miał ochotę uczcić libacją odzyskanie wolności. Urządził pijatykę — i w tym celu ukradł uprzednio dwie beczki piwa.

Litosierne paniusie będą znowu mówiły: „Głodni, nieszczęśliwi, a tacy dobrzy ludzie".

Na ślepotę niema rady.



„Protokukułki"

Artykuł wstępny w „Kurjerze Porannym" omawia ze słusznem oburzeniem... niedojrzałość polityczną (nazwijmy to tak delikatnie) Dyplomatycznych Protokułów i... *„protokukułek"*, które przy organizowaniu zewnętrznych form polskiego życia państwowego często dają dowód zupełnego niezrozumienia istoty rzeczy, na korzyść formułek i formalistyk. Hierarchja bywa tu zachowana — tylko pozornie. Hierarchja właściwa bowiem wymyka się z pod możliwości osądu „protokukułek".

Oto naprzykład podczas noworocznego przyjęcia na Zamku kolejność sal zarezerwowanych dla poszczególnych „hierarchji" była tak oryginalna, że Sejm i Senat miały wyznaczone miejsca *na szarym końcu,* — następowały po nich już tylko niższe rangi urzędników państwowych i „społeczeństwo".

Organ posła Stpiczyńskiego podkreśla słusznie, że wyznaczanie miejsca Sejmowi i Senatowi za podsekretarzami stanu i „dygnitarzami państwowymi" (co to za ranga?) — jest niedopuszczalne. Jest to bowiem jeszcze jedna *„przesada w akcentowaniu biurokratycznego charakteru naszego państwa"*.

No tak. Tylko, że...

Przez szereg lat kopało się te nieszczęsne Izby i odmawiało im wszelkiego znaczenia.

Teraz nagle to znaczenie chciałoby się — i słusznie — przywrócić.

Moralność jest pojęciem względnem

Za *malowanie ust* grozi urzędniczkom państwowym dymisja w Australji i w Anglji.

Za *niemalowanie ust* udzielił dymisji swojej pracownicy właściciel pewnej kawiarni w Paryżu, uważając, że przez to zaniedbanie robiła nieestetyczne wrażenie.

Tragiczne nieporozumienie

Mówi się: „Honor munduru". i niejedna tragedja rozegrała się już na tem tle.

Nieraz oficer w lokalu publicznym — na trzeźwo lub po pijanemu — wyciągał rewolwer, strzelał i zabijał. „W obronie honoru munduru". Tak zdarzyło się w ostatnich dniach w Katowicach. Społeczeństwo patrzy przerażone i nie chce i nie może zrozumieć, co z tem ma wspólnego „honor munduru".

Nawoływano już nieraz, aby wojskowym poza służbą nie wolno było nosić munduru. *Zwłaszcza w dancingach i innych „lokalach"*. Gdyż spotkanie tam urżniętego oficera jest *najoczywistszem zaprzeczeniem pojęcia „honoru munduru"*. Burdy w tym stanie wyprawiane — czyż munduru nie kalają? I czy tego munduru nie kala krew, przelana po pijanemu?

Znamy wyższych wojskowych nieposzlakowanych, mających istotnie wysoką wrażliwość na honor munduru. Ci ludzie *nigdy* munduru nie noszą tam, gdzie nastrój pijacki wywołać może skutki najbardziej opłakane.

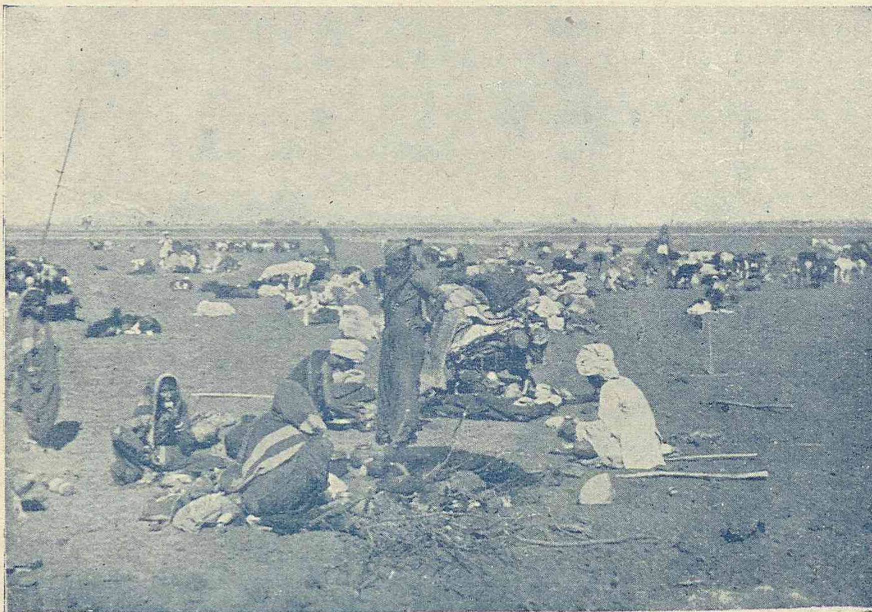
Czy nie istnieje odpowiedni zakaz wyższych władz wojskowych? Oficer, strzelający na dancingu do spokojnego obywatela, który także przyszedł się beztrosko zabawić — to morderca, którego w oczach społeczeństwa nie zrehabilituje żaden najswoiściej pojęty „honor munduru".

Tyle się już o tem pisało — napróżno.

H. KOROLEC-BUJAKOWSKA

OD WARSZAWY DO SZANGHAJU

(Reportaż z podróży własnego korespondenta „Świata")



...wcale na nas nie zwracają uwagi...

NA BOCZNYCH DROGACH

Jasno, promiennie i radośnie, no i nieznośnie. Wleczemy się do południa już drugi dzień z rzędu. A drogi szerokiej jak niema, tak niema. Wreszcie, gdy upał doszedł do zenitu, stajemy nad błękitną Tapti. Parę łodzi, tłum kąpiących się, a mostu ani śladu. Na środku rzeki parę wołów taszczy zatopiony samochód. Arrangement, ale nie dla nas.

To było w Nizamie, dżungli Gwaljoru, przez Ihansi, aż do Cawpore — wszędzie po troszeczku.

Jak wędrowaliśmy do Ajanta, zgubiły się równe, szerokie szlaki dróg.

Bocznemi wykrotami, bez mostów przez rzeki, przez anatolijskie wioski z gliny, przedzieraliśmy się dzielnie, znów jedząc dynię z chlebem i omdlewając z gorąca. A motor jęczy i warczy. Trzasnął uchwyt wózka. Trudna rada, pchamy się dalej.

W nocy sypiamy na skraju dżungli, gdzie mieszkają tygrysy, co gorsza czasem na skraju wioski, nie wiedząc o tem wcale. W nocy kołysze nas do snu śpiew moskitów i jaszczurek. Rano budzi nas galerja milczących gapiów.

Stoją, siedzą na piętach, patrzą jak urzeczeni w półuchylone drzwi namiotu. Jeden zbiera skrzętnie puste puszki od konserw, inny schwycił pudełko od zapałek. Skarby porzucone przez saaba. Zwijamy namiot. Widowisko skończone.

Zatęchła kałuża wody kusi, by umyć się, ale nie sposób robić nowego przedstawienia. Jednak nietylko my służymy jako objekt do wygapiania się.

Jedziemy przed siebie. Już słońce dopieka. Widzimy zdaleka, że ugór zaległo całe stado kóz kłapouchych. Złe psy rzucają się do kół motoru. Wśród psów i kóz na czarnych płachtach obozuje plemię koczownicze. Z chrustu ognisko. Gotują i pożywiają się z apetytem, wcale na nas nie zwracając uwagi.

Ale my napatrzeć się nie możemy do syta tym czarnym kobietom i całemu nastrojowi obozowiska. Staliśmy dobre dziesięć minut.



Tej nocy spaliśmy w bungalow Ramori.





Kąpaliśmy się w błękitnej Tapti.



Wtył zwrot, znów nakładamy pięćdziesiąt mil angielskich, by wrócić na główną drogę i już możliwie z niej jaknajmniej zbaczać.

Jeszcze tego dnia kąpaliśmy się pod pięknym Sykes-Bridgem w tej samej błękitnej Tapti. Jeszcze tego dnia przekroczyliśmy granice Gwaljoru i jego cudnej dżungli. Tej nocy spaliśmy w bungalow Ramori. Naszem bungalow o słomianej czapie strzechy. Wieczór był cichy i gwiaździsty. Woda w strumieniu kryształowa, a w nocy przyszedł chłodniejszy powiew z gór.

Nie paląc świateł, długo w noc siedziałam skulona na schodach ganku i zdawało się w tej ciszy wieczoru, że w Polsce zapada na biały, cichy dwór upalna noc lipcowa.

A gdy następnego dnia słońce schyliło się ku zachodowi, ruszyliśmy w drogę. Przez dżungle i wioski, gdzie prymitywne bożki mieszkają w starych świątyniach.

Guna. Stare miasteczko. Ciasny, barwny bazar i wrzeszczący, dziki tłum gapiów. Stanęliśmy przed pocztą. Zwaliła się na mnie tak zwarta ciżba, iż cudem uniosłam życie. Radosnem wyciem pożegnani umknęliśmy co prędzej.

Przy stacji benzynowej gdzieś na szosie. Patrzę na dzieci. Przychodzą jedne po drugiem do sprzedawcy słodyczy. Malec wydłubuje z brudnego rąbka sari lub chustki miedzianego pajsa. Handlarz sumiennie nakłada lepkie przysmaki do rożka, zwiniętego ze starej gazety. Dzieci odchodzą na stronę ze swym skarbem i zgodnie dzieląc się, pakują garściami do buzi.

Jedna dziewczynka jest większa. Ona utrzymuje porządek. Bo goły chłopczyk w sznureczku na brzuszku jest strasznie łakomy i krzywdzi mniejszą siostrzyczkę. A ta jest naprawdę biedna, pokryta prawie jednolitą lawą strupów ospy. Wstrząs obrzydzenia. Żeby to dziecko nie dotknęło motoru.

Gdy noc zapadła, skręciliśmy znów w boczne drogi. Skrót do Cawpore. Droga wtuliła się w dżunglę. Znikły ostatnie chaty. Jeszcze przeszedł zgubiony przechodzień. Zaskrzypiał wóz. A potem były tylko wzgórza powarjowane, dzikie, zarosłe spaloną szczotką dżungli.



...rano budzi nas galerja milczących gapiów...

Jeden zając przebiegł drogę, drugi... Na wszelki wypadek ładujemy broń. Karabin do ręki. Może być grubsza zwierzyna na drodze. Nie wywołuj tygrysa z dżungli. Wystarczy pomyśleć, by wypadł na drogę. Tymczasem wytoczyła się maman tygrysica z kociętami. Zagarnia łapą, prowadzi przed sobą, a małe wywracają kulki na szosie.

Światła rzucone wprost w ślepia zaniepokoiły instynkt macierzyński tygrysicy. Przepędziła smarkacze i znikła w lesie.

Szybko przeskakujemy to miejsce. Właściwie nie wiemy, czy przysługuje nam prawo polowania. To też lepiej nie sprowadzać kłopotu na głowę i gdy tygrys nie zdradza krwiożerczych zamiarów, niech sobie żyje.

Jeszcze parę zajęcy przeszło drogę, ale już tygrysa nie było. Żal straconej okazji niebezpiecznych łowów. Karabin ciąży w ręku i, jak zwykle w nocy, sen wdziera się przemocą. Śpię z otwartemi oczami.

Wreszcie przed świtem rzuciliśmy się na ziemię na skraju dżungli, by przespać chociaż godzinę à la belle etoile, nie myśląc o moskitach, tygrysach i kobrze.

O świcie znów byliśmy w drodze i wjechaliśmy w mury Ihansi, gdy miasto otwierało zaledwie zaspane oczy sklepów.

Calcutta.

Zdjęcia St. Bujakowskiego.

PRZYZNANIE PAŃSTWOWEJ NAGRODY LITERACKIEJ

NA ROK 1936



Nagrodę za całokształt działalności pisarskiej, ze specjalnem uwzględnieniem ostatniego pięciolecia, otrzymała znakomita pisarka, Zofja Nałkowska.

MIECZ. SZERER

Pałac w Hampton Court

Początek był wcale idyliczny i malowniczy.

Przywieziono ze „słonecznej“ Hiszpanji do „mglistej“ Anglji szesnastoletnią księżniczkę Katarzynę, by ją poślubić o rok od niej młodszemu księciu Walji. Niebardzo widziało się to małżeństwo rodzicom oblubienicy, Ferdynandowi Aragońskiemu i Izabelli Kastylijskiej, bo książę Walji nie był podówczas — w zaczynającym się właśnie wieku XVI-ym — taką partją, jak dzisiaj. Tudorowie nie siedzieli zbyt mocno na tronie, a rodzice Katarzyny w wielkiej przecież chwale chodzili. Zaryzykowali jednak i wjazd księżniczki do Londynu odbył się bardzo paradnie. Obok wspaniałej karocy, w której wylękła Kasia usiłowała, jak mogła, zachować kontenans, cwałował dziarsko na kucyku dziesięcioletni, bielutko ubrany brat pana młodego.

Z tym panem młodym były niejakie kłopoty. Zważywszy jego 15 lat życia i zdrowie bardzo delikatne, wahano się, czy pozwolić „małżeństwu“ na wspólne zamieszkanie. Ostatecznie jednak zezwolono — z tym skutkiem, że po 5-iu miesiącach książę Walji lekał na marach, a Katarzyna była, podobno, wciąż dziewicą.

Następcą tronu został teraz ów biały chłopiec, co na kucyku hasał. Racja stanu sprawiła, że po kilku latach zaręczono go z pozostałą na składzie Katarzyną, a gdy w r. 1509-ym, jako 18-letni młodzieniec, obejmował tron Anglji po zmarłym właśnie ojcu, ożenił się na dobre z dziewiczą wdową po bracie. Małżeństwo było z początku bardzo szczęśliwe. Młodemu królowi nie dolegała jeszcze okoliczność, że żona była starsza od niego o sześć lat i że z temperamentu nie była niczem mniej, niż Hiszpanką. Król nie był też jeszcze wówczas tym opasłym i rozkraczonym brodaczem, jakim go znamy z portretów i kreacji Laughtona w głośnym filmie (bo zapomniałem, zdaje się, powiedzieć, że król, o którym mowa, to Henryk VIII).

Nie trwało to jednak, jak wiadomo, bez końca. Henryk wyrósł na jurnego osiłka, skorego do wszelkiego fizycznego „wyżywania się“. Katarzyna natomiast przekwitła w stateczną matronę, najprzykładniejszą żonę męża, który bynajmniej nie uważał kobiety za gramatykę i nie wzorów stylu w niej szukał. Przez kilkanaście lat wystarczały królowi miłostki z damami dworu, aż pojawiła się Anna Boleyn a z nią — związek z tematem niniejszego artykułu.

Było to jeszcze przed zerwaniem stosunków ze Stolicą Apostolską. Potężnym ministrem, prawą ręką królewską był kardynał Wolsey, jedna z najbardziej reprezentacyjnych postaci tych czasów renesansowych, w których wielcy dostojnicy świeccy i kościelni rozumieli doskonale, że nic nie dodaje tak smaku zbytkowi, jak występek. Wolsey nie szczędził sobie zbytku ani jego przyprawy. Rezydencja, którą zbudował o kilka mil od stolicy, w Hampton Court, zaćmiewała przepychem pałace królewskie. Półtysięczna rzesza gości i dworzan dotrzymywała mu tam stale towarzystwa. Urządzenie pałacu, zastawa stołu, stroje, libacje, polowania — wszystko było na tym samym poziomie rozmiłowania się w imponującym blasku i popuszczaniu pasa.

Ale też miał Wolsey nie bylejakie dochody. Był biskupem dwóch bogatych djecezyj, arcybiskupem Yorku, kardynałem i legatem papieskim, posiadał szereg intratnych przywilejów nadanych sobie przez króla, od władców zagranicznych otrzymywał sute podarki, lawirując zręcznie pomiędzy konkurującymi monarchami (w szczególności pomiędzy Karolem V a Franciszkiem I), umiał wreszcie zarabiać na różnych podatkach i daninach. Mógł więc pozwolić sobie na rozrzutność.

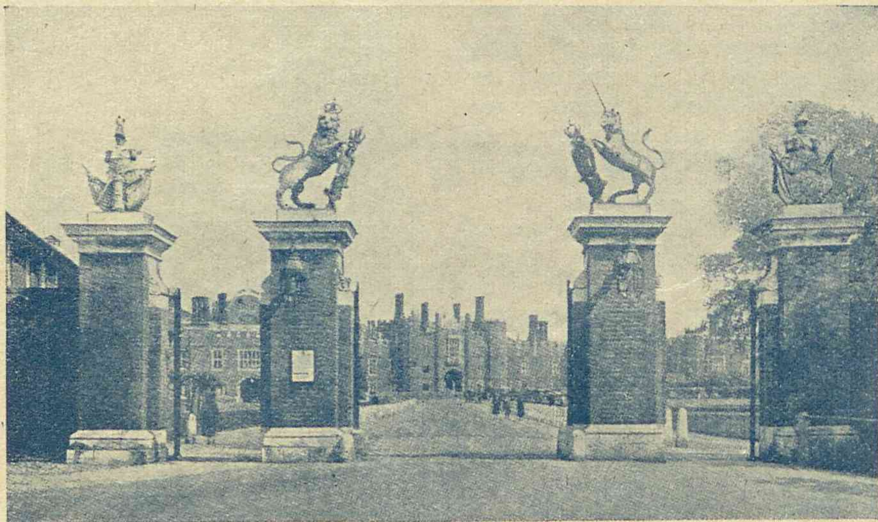
*

Ten to kardynał Wolsey stał u szczytu potęgi, gdy Henryk postanowił—po 18-u latach małżeństwa — rozwieść się z Katarzyną. Rzecz nie była łatwa. Ślub był przecież katolicki i rosła zdrowo córka z tego małżeństwa (późniejsza królowa Marja). Wolsey wytężył całą finezję i przewrotność swej dyplomacji — a miał jednej i drugiej spore zasoby — aby przeprowadzić w Rzymie rozwód pod pretekstem, że dyspensa papieska, udzielona swego czasu na ślub Henryka z wdową po bracie, była nieważna, że więc pozostawanie z nią w małżeństwie było — jak spostrzeżono po 18-u latach — gorszącym grzechem.

Wolsey pragnął rozwodu królewskiego ze względów polityki zagranicznej. W grze języczka u wagi pomiędzy Austrją a Francją (która to gra, przed tenisem i cricketem, stanowiła główny sport angielski) Wolsey po szeregu wahań przechylił się był na stronę Karola V-go. Niebawem jednak potęga cesarza przybrała tak niepokojące rozmiary, że Wolsey uznał za właściwe dmuchnąć w dudkę francuską: jeśliby król uzyskał rozwód z Katarzyną, mógłby poślubić księżniczkę francuską i zagrozić Karolowi, zbytnio w pióra porosłemu, perspektywą przymierza z Francją. Otwierały się przy tem widoki negocjacyj małżeńskich, na których swat-minister wyszedłby napewno finansowo doskonale.

Na nieszczęście dla Wolseya, dwie okoliczności przekreśliły jego wyrachowania. Pierwszą był wpływ, jaki Karol V uzyskał w Rzymie, a który przeciwstawił staraniom o rozwód henrykowy. Toż Karol był wnukiem Ferdynanda i Izabelli, czyli że wzgardzona Katarzyna wypadała mu rodzoną ciotką. Powtóre zaś Henryk nie myślał o nieoznaczonej jeszcze bliżej księżniczce francuskiej, ale o bardzo już dokładnie skonkretyzowanej Annie Boleyn. Do familji Boleynów Henryk miał najwidoczniej wrodzony pociąg; już przecież na szereg lat przed czasem, o którym mowa, kochanką jego była Marja Boleyn, siostra Anny. Teraz z Anną Boleyn chciał się ożenić.

Tak więc starania w Rzymie o rozwód skończyły się niepowodzeniem,



Wejście do pałacu w Hampton Court.

Anna zaś, przejrzawszy profrancuską intrygę Wolseya, stała się jego zawziętą przeciwniczką. Owóż wiadomo, co potrafi nienawidząca kobieta — w czasie gdy panuje nad zmysłami porywczego króla. Gwiazda kardynała poczęła raptownie gasnąć. I wtedy to Wolsey, chcąc olśniewającym gestem odzyskać łaskę królewską, ofiarował Henrykowi w podarunku swą wspaniałą rezydencję w Hampton Court.

Już było zapóźno. Henryk, nie pozbawiony zmysłu humoru, przyjął cudną posiadłość, ale ofiarodawcy do łaski nie przywrócił.

Wolsey, utraciwszy urzędy, udał martwego: osiadł zdala od Londynu i przykładnem — teraz! — życiem usiłował sprawić, by o nim zapomniano. Nadaremnie. Zawisła nad nim groźba procesu o zdradę stanu, co — w danych okolicznościach — oznaczało w stu procentach słupek i miecz katowski w blizkim czasie. Od takiego zakończenia karjery uwolniła Wolseya w porę śmierć naturalna. Ale to już nie należy tu do rzeczy. Wybraliśmy się na spacer nie po historji, lecz po pałacu w Hampton Court.



Elżbieta, królowa Anglji. (Portret w pałacu w Hampton Court)

*

Zmieniło się w nim — z pewnością! — wiele od tego czasu, kiedy Henryk VIII, zerwawszy z Rzymem i rozwiódłszy się z Katarzyną, mieszkał w Hampton Court kolejno z wszystkiemi żonami, których sobie, jak wiadomo, nie szczędził. Niemal każdy z następnych władców Anglji zostawiał tam ślad swego istnienia — w jakimś zakątku parku, jakiejś przebudowie, jakimś dodatku architektonicznym lub dekoracyjnym. A więc córka Henryka i Katarzyny, królowa Marja, która reakcją katolicką mściła się za krzywdę matki i okupywała odszczepieństwo ojca. I jej siostra, królowa Elżbieta, sprowadzająca tam trupę aktorów, z których jeden nazywał się William Shakespeare. I Karol I-y, który był tam więziony, zanim go — po nieudałej ucieczce — przewieziono do Londynu, gdzie miał głowę stracić. I Kromwel, który spurytanizował czyli odarł ze świetności wiele z wnętrz pałacu. I długi szereg dalszych władców, z których każdy coś poprawiał, coś dodawał, czemś wzbogacał kolekcję obrazów i gobelinów, jakąś tajemnicę amorów królewskich powierzał bujnym krzewom parku. Najwięcej zmian zewnętrznych wprowadził w końcu XVII-go w. słynny architekt Sir Christopher Wren, budowniczy londyńskiej Katedry św. Pawła, który nie podarował żadnemu z ówczesnych budynków monumentalnych, jako że niema, zdaje się, w Anglji takiej XVII-y wiek pamiętającej budowli, o którejby nie twierdzono, że ją stawiał lub coś koło niej dłubał Sir Christopher Wren.

Dziś w Hampton Court nie mieszkają już królowie angielscy. Po cudownie utrzymanym parku spacerować może, kto chce. Apartamenty, które u nas nazywałyby się reprezentacyjnemi, zwiedza się za drobną opłatą. Resztę zaś pałacu (to znaczy około tysiąca pokoi!) podzielono na mieszkania, które otrzymują wdowy po urzędnikach i oficerach równie wiele zasłużonych dla państwa, jak mało dla własnej kieszeni.

*

Owa część reprezentacyjna to rzędy olbrzymich komnat, przeważnie pustych. Tu i owdzie pozostawiono jakieś meble, tak że dobrze niewiadomo, czy to jeszcze mieszkanie czy już tylko galerja obrazów.

W płucach mam jeszcze pełno reminiscencyj miljarda autobusów londyńskich, prowadzących nieubłaganą wojnę gazową z przechodniami. Jestem więc jak najgorzej usposobiony do spożywania piękna malowideł na sufitach i obrazów na ścianach. I tak zresztą nie posiadam kwalifikacyj do oceny, czy te obrazy starych szkół holenderskich, francuskich i włoskich, któremi gęsto obwieszono wszystkie ściany, są godne dłuższych przystanków i kontemplacji. Czynię więc sobie złośliwą satysfakcję i zamiast zadzierać głowę do góry ku pułapom lub kręcić szyją na boki, patrzę w dół, gdzie wzdłuż ścian ale w pewnej odległości od nich — tak żeby było dobrze widać — przeciągnięto czarne grube rury kaloryferowe i poustawiano kubełki z piaskiem i wodą, jakoteż minimaxy. Jest to niewątpliwie dowód przezorności, ale to blaszane wiadro z wodą stojące obok wielkiego łoża z baldachimem i te czarne kichy, mające w zimie podgrzewać dzieła dawno wystygłych mistrzów, działają na mnie, jak dyspenza od oglądania.

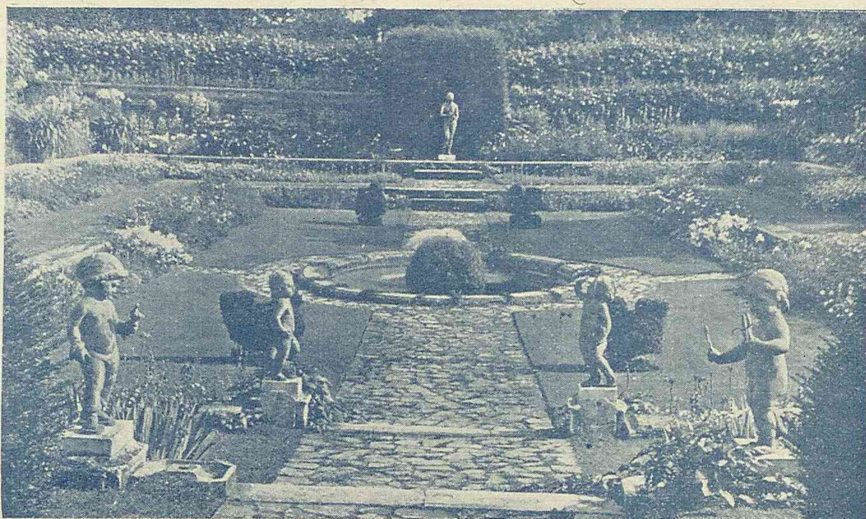
Mimo wszystko, przed jednym obrazem zatrzymuję się dość długo. Jest to portret królowej Elżbiety, jednej z najbardziej irytujących postaci historji. Tak — tak właśnie **powinna** była wyglądać ta virago, której niebo pozwoliło zatryumfować nad Wielką Armadą dlatego tylko, że Filip II posiadał jeszcze mniej wdzięku. Opięta do niemożliwości, obwieszona i przyciśnięta klejnotami, inkrustowana haftami, osuta koronkami i strusiemi piórami, ze sztywną kryzą, która ją dusi, jest tak szczelnie wystrojona, że wciąż myśli się o tem, jak musi być nieapetyczna pod tym pancernym strojem. Długi mięsisty nos nad cienkiemi wargami, trefione rdzawe włosy, wiercące oczka, ręka blada o przesmukłych palcach — jakżeż to wszystko składa się doskonale na wrażenie egoizmu, podejrzliwości, przecherstwa i zawziętości starej panny mimo woli. Ten obraz działa na radość życia, jak pia-

sek sypnięty na atrament. Idźmy dalej.

— — W wielkiej sali, o sklepionym, wymyślnemi boazerjami zdobionym stropie, o ścianach pokrytych subtelnemi gobelinami, w tej wielkiej sali grywał Szekspir... Z tej strony była scena, temi drzwiczkami wychodzili aktorzy i on z nimi. Zdaje się, że musiał trochę schylić się, przechodząc.

— — Jest też „sień, w której straszy". Było mianowicie tak, że Henryk VIII postanowił pozbyć się jeszcze jednej z Katarzyn, z któremi zwykł był się żenić (Katarzyna Aragońska, Katarzyna Howard, Katarzyna Parr). Biedną Katarzynę Howard trzymano, pod zarzutem zdrady stanu, w jednem ze skrzydeł pałacu w Hampton Court, nie dopuszczając jej przed oblicze zagniewanego małżonka. Owóż pewnego rana królowa — wiedząc, że Henryk znajduje się w kaplicy i nie przypuszczając, by w takiem miejscu mógł odmówić wysłuchania jej usprawiedliwienia — wyrwała się straży, pobiegła pędem przez ową sień i poczęła na jej końcu dobijać się do drzwi kaplicy. Ale widocznie Henryk był bardzo zatopiony w modlitwie, bo choć dobrze słyszał rozpaczliwe krzyki Katarzyny, pozwolił powlec ją z powrotem do jej komnat. Katarzynę ścięto i odtąd duch jej straszy w Hampton Court. Ale tylko w tej sieni i tylko raz do roku — nie pamiętam, czy w rocznicę śmierci delikwentki czy w dzień jej imienin.

— — Przenikliwym szeptem mówi historja w dobrze zachowanych pokojach prywatnego apartamentu Wolseya. Siadam w rogu jednego z tych pokoi, na dębowej ławeczce pod wązkiem oknem, z którego roztacza się widok na uroczy parter kwiatowy. Może z tego okna żegnał się kardynał ze swą czarowną posiadłością? Może tu — o



...roztacza się widok na uroczy parter kwiatowy...

jak wilk, co stracił zęby — mądrze, ale nieco poniewczasie, rozmyślał:

Brzydzę się tobą, chwało tego [świata!
Serce me nowym otwiera się [myślom.
Jak nieszczęśliwy, jak biedny [jest człowiek,
Co swe nadzieje do królów [przyczepia!
Między uśmiechem, do którego [wzdycha,
Słodkim uśmiechem króla, a [upadkiem
Więcej jest trwogi, trosk i nie- [pokoju,
Niż w rzeziach wojny i zdradach [niewieścich.

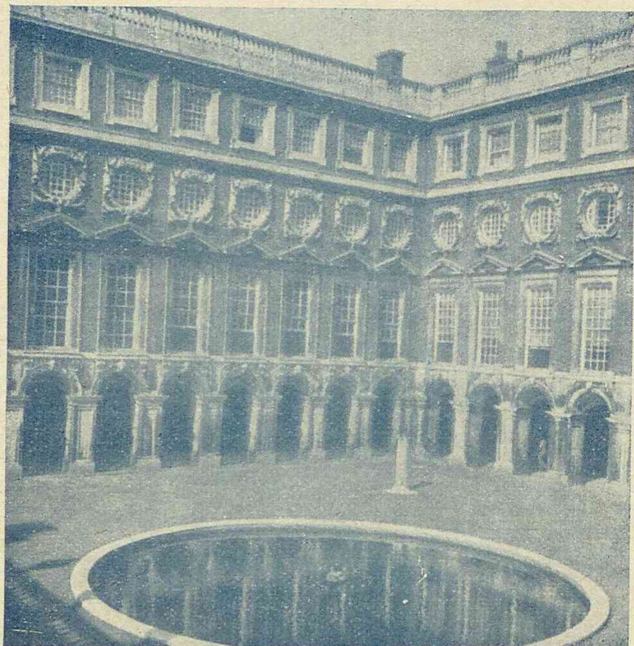
Henryk VIII, akt. 3.

*

Park w Hampton Court! Trawniki, niewiarygodne trawniki angielskie, o których powiedziano już wszystko a o których nie powie się nigdy dość. Trawniki wywracające najpierwsze przykazanie, jakie wchłania dusza dziecka miejskiego na kontynencie: „nie wolno chodzić po trawie". W Anglji chodzi się w parkach po trawie. Niby to niewiele, a jednak zmienia zasadniczo stosunek człowieka do ziemi. Mam oczywiście na myśli człowieka z kontynentalnego miasta, tego człowieka, co chodzi zawsze po ziemi zakutej w kamień lub zbitej w twarde ścieżki i wedle tej twardzizny o niej myśli. W angielskim parku ziemia ściele mu się pod stopy zielonemi elastycznemi rozłogami, zaprasza jego kroki i mówi mu: otom ci przyjazna...

Już mam wstąpić na trawnik, co dłuży się przedemną, gdy naraz — mój Boże, jakby to powiedzieć najprościej? Naraz spostrzegam wzdłuż murowanych parkanów po obu stronach pałacu ciągnący się na dobrych kilkaset metrach pas kwiatów, ale pas taki krakowski, szeroki a strojny. Kwiaty nie siedzą na nim grzecznemi grządkami, ale buchają kolorami bezładnie jedne przez drugie. Jakby jakiś anioł ogrodów, rozmachawszy się, brał całe garście najprzedniejszych kwiatów i ciapał niemi — tu pac, tam pac i jeszcze i jeszcze, aż sam się utrudził i wzdłuż niekończących się parkanów nie było najdrobniejszego miejsca, któreby nie krzyczało wniebogołsy jakąś barwą. Na to niema żadnego botanicznego określenia, to nie są skupienia roślin, to jest burza kolorów rozpętana w słoneczne popołudnie i hucząca w jasnem powietrzu. Biel, czerwień, fjolety, żółtości i niebieskości w krociach odcieni — wszystko razem stłoczone, skotłowane, zakręcone w fantastycznym tańcu kolorów, zapachów i drżeń cieniutkich płatków.

Po drugiej stronie drogi, na której stoję urzeczony, patrzy surowo na orgje kwiatów nieskazitelna ciemna zieleń drzew.



Dziedziniec z fontanną w pałacu Hampton Court.

WŁODZIMIERZ ŁUKASIK

P A S A Ż E R

Pasażer (wchodzi): Czy ten tramwaj na Ochotę?

Konduktor: — Tak.

Pasażer: — Na Ochotę powiada pan? Ciekawe. Ile razy jadę 15-ką, zawsze dojeżdżam na Marymont.

K. — To też to nie jest 15-ka, tylko 8-ka.

P. — Niech będzie 8-ka, ja jestem człowiek zgodny. Dla mnie, panie, parę numerów nie stanowi różnicy.

K. — Jeśli pan wsiadł w zły tramwaj, to może pan w każdej chwili wysiąść.

P. — Poco wysiadać? Wsiadłem, to już będę jechał. Powiadam panu, nie znoszę tej ciągłej zmiany miejsca. Ja jestem, panie konserwatystą. Nawet z jedną żoną żyję już pięć lat. Zmieniam, można powiedzieć, kobiety jak koszule. A pan?

K. — To nie należy do rzeczy. Płaci pan za bilet.

P. — Zaraz, zaraz. Co się panu tak spieszy? Przecież nie ucieknę — dopiero wsiadłem. Muszę się trochę rozejrzeć... Owszem, podoba mi się tutaj. I lampy elektryczne macie... Chociaż taniej wypadałoby oświetlenie gazowe. Wie pan co, niech pan zgasi te lampy.

K. — Poco?

P. — Jestem straszliwie przygnębiony, więc nie chcę widzieć swego smutnego położenia. A do czego ten sznurek?

K. — To jest dzwonek.

P. — Dzwonek Czego to ludzie nie wymyślą.

K. — Proszę o pieniądze za bilet.

P. — Za jaki znów bilet?

K. — Jak pan zapłaci, to panu wydam bilet na przejazd.

P. — A... na przejazd, myślałem, że wizytowy. A ile ja mam panu zapłacić?

K. — 20 groszy.

P. — 20 groszy? Za to, że ja sobie tutaj trochę posiedzę? Skandal!

K. — To mnie nie obchodzi.

P. — Bardzo źle, że pana nie obchodzi, od tego pan jest konduktorem, żeby pana obchodziło. Co wobec tego pana interesuje?

K. — Żeby pan zapłacił.

P. — Pan jest naogół miłym człowiekiem, tylko strasznie interesownym. Powinien pan sobie założyć sklep z manufakturą.

K. (zniecierpliwiony) — Płaci pan?

P. — Dlaczego mam nie płacić? Uczciwy jestem. Tylko poczekaj pan chwileczkę (schyla się i zaczyna czegoś szukać na podłodze).

K. — Czego pan tam szuka?

P. — Pięćdziesięciu groszy.

K. — Zgubił pan?

P. — Co znaczy zgubiłem? Ja szukam, ja chcę znaleźć.

K. — Panie, panie, stary kawał, znamy się na tem, nie strugaj pan warjata. Albo pan zapłaci, albo zatrzymam tramwaj.

P. — Więc ostatecznie ile?

K. — Powiedziałem: 20 groszy.

P. — Nic taniej?

K. — Czego się pan targuje? Tutaj niema żadnych rabatów.

P. — To niech mi pan da zniżkowy bilet.

K. — Legitymację tramwajową pan ma?

P. — Naco mi tramwajowa legitymacja? Mam pozwolenie na broń.

K. — To nie wystarczy.

P. — Pan jest zanadto wymagający. Ja w kinie dostaję bilet prasowy na podstawie karty abonamentowej do łaźni Fajansa, na kolei sprzedają mi pół biletu za okazaniem świadectwa szczepienia ospy, w teatrach T. K. K. T. pokazuję zawiadomienie o eksmisji. Nawet na posiedzenia Sejmu wchodzę za receptą z Kasy Chorych, a pan chce jakiejś legitymacji.

K. — Więc musi pan wykupić cały bilet.

P. — Niech będzie. Ze mną jak z dzieckiem, nie lubię się upierać. Masz pan tu swoje pieniądze (podaje).

K. — Proszę bilet (podaje mu bilet).

P. — Taki mały? Nie ma pan w większym formacie?

K. — Jakto w większym?

P. — No trochę większy. Tak z 50 na 30, żeby można było poczytać przez drogę.

K. — Nie mam.

P. — To okropne. Za dwadzieścia groszy dają człowiekowi taki maleńki świstek papieru, nawet śniadania nie będę miał w co owinąć.

K. — W bilet nic nie wolno zawijać. Bilet należy zachować dla kontroli!

P. — Kto panu to powiedział?

K. — Tak napisane.

P. — To jeszcze nie dowód. Widzi pan, tu napisano: „Pijcie herbatę z narcyzem", a czy pan pije?

K. — Nie.

P. — Nie wezmę tego biletu. Niech mi pan da inny. Może z jakimś obrazkiem?

K. — Z jakim obrazkiem?

P. — Powiedzmy, jakaś scenka batalistyczna, krajobraz, albo widoczek z wodą.

K. — Mogę panu dać kartę abonamentową na 10 przejazdów.

P. — Niech pan pokaże, może wezmę.

K. — (wydziera i podaje).

P.—To już lepsze. I dziewczynka jest z pałaszem i napisanego więcej. Stanowczo lepsze. Tylko kolor mi się nie podoba. Nie ma pan w jakimś innym odcieniu, powiedzmy... czerwonym?

K. — Nie, tylko w takim, ale przecież to wszystko jedno.

P. — Dla pana — nie dla mnie. Widzi pan, chciałbym sobie tę dziewczynkę powiesić na ścianie. W ramkach. A tapety, uważa pan, mam zielone, więc nie będzie zupełnie odbijać.

K. — Na tapety to już nie poradzę.

P. — Szkoda, ale niech już będzie. Ma pan tutaj swój bilet. Biorę tę dziewczynkę z ogonem, niech mi pan zapakuje.

K. — Biletu nie może mi pan zwrócić. Zresztą ta karta kosztuje 2 złote.

P. — To trochę za drogo. Niech mi pan da coś w tym guście za złotówkę.

K. — Panie...

P. — Za złotówkę, powiadam. Niech i pan coś zarobi. Takie ciężkie czasy. Ile pan ma dzieci?

K. — Czworo.

P. — A wódzię pan pije?

K. — Nie.

P. — A ja, widzi pan, muszę. Jak lekarstwo. Nie żeby dla zdrowia, tylko trzy razy dziennie.

K. — Panie...

P. — Więc dobrze, widzę, że pan jest obarczony rodziną i wódki pan nie pije — dam panu złoty pięćdziesiąt.

K. — Ależ, panie...

P. — Niech się pan nie tłumaczy, rozumiem. Czworo dzieci... Więc zgoda?

K. — Ależ błagam pana, niech pan weźmie sobie tę kartę darmo, tylko proszę natychmiast opuścić wagon.

P. — O, co to to nie. Pan mnie jeszcze nie zna. Darmo? Nigdy do tego nie dopuszczę. Złoty pięćdziesiąt pan nie chce? Dobrze. Ale mimo to, wiedz pan, że jestem wspaniałomyślny, chcę panu pomóc. Czworo dzieci! Dawaj pan jeszcze jeden mały bilet za 20 groszy. Niech kosztuje, — co chce!

TO, CO MODNE W PARYŻU — NIEMODNE W WARSZAWIE

„Jakto — zaprotestuje każda warszawianka — przecież wiadomo, że najgorliwiej stosujemy modę paryską, czasem nawet z większą przesadą niż same paryżanki! To, co nosi Paryż — nosi zawsze i Warszawa".

Otóż okazuje się, że nie. Specjalnie w sezonie obecnym widać to bardzo jaskrawo.







Parę przykładów:

Sylwetka paryżanki tej zimy: bezwarunkowo peleryna (zwana cape, ale to to samo). Będzie ona np. do łokci, zrobiona ze srebrnych lisów — wtedy kładzie się ją do sukni wizytowej, albo na ulicę do zimowego tailleur. Dłuższa cape — trochę powyżej kolan, z przodu zaokrąglona — (nieodwołalnie z karakułów) — nosi się na każdej sukni, zarówno wełnianej, jak jedwabnej (model taki widzimy na prawo u góry: jest to klasyczna sylwetka paryżanki zimą 1936 roku). Kto u nas tak się ubiera?

Najdłuższa cape — do ziemi — wieczorowa. Niesłychanie modne i bardzo „nie opatrzone" są takie capes z... lutrów. Czy w Warszawie widziałyśmy chociaż jedną?

Oprócz cape — szalenie są noszone krótkie szerokie, bardzo fałdziste płaszczyki karakułowe, z niezmiernie bufiastemi rękawami (model pośrodku strony). W Warszawie w poszukiwaniu takiego modelu zwiedziłam większość magazynów kuśnierskich — i wszędzie częstowano mnie wyłącznie długim do kostek, wąskim kloszowym, wciętym w pasie płaszczem, o rękawie ciasnym jak kiszka (żaden rękaw sukni, koniecznie tej zimy bufiasty, nie może się w takie futro zmieścić). Ha, trudno.

I jeszcze: na popołudnie, na dni cieplejsze, paryżanka kładzie płaszcz aksamitny, ścięty przy szyi bez żadnego futrzanego kołnierza — zato przybrany bogato srebrzystym lisem na wysokości... łokcia (model na lewo, na dole). Tej mody może słusznie Warszawa nie adoptowała: ładne to, ale napewno nie grzeje. Klimat ma w sprawie elegancji także cośniecoś do powiedzenia.

Lustucru.

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta", której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Marta pali się do tej roboty. Jest zadowolona. Zapomina o tem, że miała Emila ukarać, że miała na nim się zemścić!

Marta pracuje! Śmieje się do swej pracy i do ludzi, którzy jej pomagają. Jest w swoim żywiole! Okazuje się, że rzemieślnicy nabierają do niej zaufania. Jej takt i spokojne opanowanie siebie zaczyna skutecznie zastępować klątwy i unoszenie się Emila! Pan Grzesiak uczy się cenić tę „babę" jako zwierzchnika, który wie czego chce i którego warto... słuchać! U pana Kowalskiego Marta zdobywa tak zwany autorytet.

Ona jest ze „swoich" ludzi zadowolona i „jej" ludzie z niej też są zadowoleni!

Zupełnie inaczej myśli szofer Michalski, który na „swoją panią" jest wściekły, i kiedy ta nareszcie raczy otworzyć drzwiczki limuzyny i sucho, zdawkowo, rozkazać świeżo umalowanemi ustami:

— „Cukiernia..."

Szofer Michalski nie spieszy się. Musi przecież najpierw zapisać w notesie godzinę drugą minut siedem, a potem dopiero wyprostować zdrętwiałe nogi i zabrać się do zapuszczania silnika.

***

Na Lu w cukierni oczekuje przyszły mąż, ziewający nad płachtą Temps'a i Szenker ubijający interes przy sąsiednim stoliku.

Lu przechodzi przez całą długość cukierni, rozglądając się na prawo i lewo. Kelnerzy ją znają i kłaniają się z szacunkiem.

Dyrygent jazzowej orkiestry podnosi na jej widok pałeczkę do góry i wita ją melodją najmodniejszego tanga. Panie od stolików obrzucają ją ciekawem spojrzeniem i mówią:

— „Patrz, córka Tarasowicza ma znowu nowe futro i nowy kapelusz! Któryż to w tym sezonie? I kto za to płaci?

Mężczyźni oglądają się za nią z przyzwyczajenia. Oswoili się z jej widokiem i znudzeni mówią:

— „Patrz, córka Tarasowicza coraz więcej się maluje! Że też znalazł się odważny, który chce się z nią ożenić!"

Lu kłania się na prawo, na lewo, wymija natłoczone publicznością przejścia, wysunięte krzesła, ściśnięte ze sobą stoliki.

Jest na miejscu.

Przyszły małżonek Lu promienieje! Oto jest ta, o której mówi cała Warszawa! Oto jest ta, którą on zdobył!

Szenker wita piękną panią.

Pani Lu zamawia pół-czarnej, zapala papierosa w zielonej (pod kolor sukni) cygarniczce i opowiada panom o tem, że przed chwilą była w pracowni Marty.

Czy być może? Panowie są zaciekawieni. Pytają nachyleni, jak to tam wygląda takie atelier?

— Jak? Bardzo ciekawie! Multum szkiców, akwafort, gwaszy! Akwarele na ścianach, perskie dywany, stylowe meble, czarna kawa, Kossacki przemiły, przystojny, ciekawy, zachwycony urodą Lu, proszący, błagający poprostu o możność malowania jej!

Czy się Lu zgodzi na pozowanie? Zapewne tak. Lu się waha, namyśla, ale zapewne wkońcu zgodzi się, byle ten Kossacki długo jej nie męczył pozowaniem!

A cóż Marta? Szenker pyta o pannę Martę.

Lu wzrusza ramionami. Kuzynka pracuje, konferuje z rzemieślnikami i nie zwraca uwagi na Kossackiego. Takie „ciepłe kluski".

Szenker tą nowiną jest zachwycony! Udaje jednak, że go to nic nie obchodzi i z precyzją oddziela widelcem kawałek tortowego ciastka.

WIOSNA

Wiosna.

Marta śpi przy otwartych oknach. Wiatr wachluje tiulem firanek i niesie z balkonu zapach wilgotnej ziemi i pierwszych liści. Księżyc świetlistem pasmem przecina pokój naskos, odbija się w politurze szafy i w kwadratach posadzki. Nawet tu, na Wilczej, w mieszkaniu dentysty Tarasowicza jest wiosna!

Rankami niebo rozpościera się nad głową Marty, jak piękna niebieska materja. Patrząc z okna pracowni na miasto można mieć wrażenie, że wszystko jest radością i poezją. Jaskrawa barwa czerwonych dachów, liljowe tony snujących się dymów, pajęcza sieć radjowych drutów — wszystko to w wiosennem, rannem słońcu zachwyca.

Okna domów okryte powiekami opuszczonych rolet śpią. I ziewają dachy otwartemi ustami dymników. Jest cicho, tylko białe skrzydła trzepoczących na rynnie gołębi wydają lekki, przerywany szelest.

Marta cieszy się wiosną. Czterema doniczkami rozkwitłych primul na oknie pracowni i wielką rozwichrzoną grzywą zieleni skweru, wciśniętej w przepastny tunel trójkątnego placyku.

Marta chwilami zupełnie nie może pracować. Widocznie zmysły i sentymenty upominają się o swe prawa. Niebieskie błyszczące oczy przechodzącego na ulicy mężczyzny robią silne wrażenie. Uśmiech Szenkera podnieca. Usta Emila dopiero teraz zwracają uwagę. Jest źle z dziewczyną i widocznie wszyscy to wyczuwają, bo otacza ją wokoło silny prąd męskich pożądań, napastliwych spojrzeń, silnych uścisków dłoni, przeciągłych pocałunków w rękę, bezładnych zapewnień i gorących słów.

Marta walczy ze sobą, brzydzi się swoich myśli i uczuć, swoich oczu podkrążonych i niepokojących, swojej namiętnie bladej twarzy i nabrzmiałych od krwi czerwonych ust.

Oczekuje na wielką miłość i nie chce zaprzepaszczać pierwszych uniesień w ramionach mężczyzny, który się jej chwilowo tylko podoba (Emil) i nie chce mieć dziecka z mężczyzną niekochanym (Szenker).

**
*

Marta bywa teraz szorstka, pobudliwa, nierówna, rozleniwiona i śmieszna w swoich własnych oczach.

Emil podejrzewa Martę o histerję i może ma rację. Dziewczyna jest cnotliwa aż do obrzydliwości i denerwuje go. On nie ma zamiaru w jej towarzystwie zdzierać sobie nerwów i zdrowie tracić. Od tygodnia zachodzi już tylko raz na dzień, na chwilę, do malarni. Woła służbę. Każe zmieniać brudną wodę, myć pendzle, potem zapala papierosa i z pod oka przygląda się Marcie, przygryzając usta i wyłamując ze stawów palce.

Marta pracuje. Poco? Naco? Emila to drażni. On widzi w niej tylko kobietę, którą chce mieć. Dawniej wyzyskiwał jej pracę. Postępował tak, jak to robili jego dziadowie, którzy starali się o panny z posagiem i szli na ich utrzymanie. Ale teraz? Teraz już nie potrzebuje eksploatować jej pracy. Dał sobie radę bez niej. Dzięki fantazji Lu poznał już ministra X i generała Z. Dostał jakieś rządowe zasiłki, wykonał kilka reprezentacyjnych portretów i stał się modny!

Chodzi teraz po pracowni, grzeje się w samo południe pod tym szklanym, rozpalonym dachem i nawet nie wolno mu zdjąć marynarki!

Oh, Marto! Marto! Czyż nie widzisz, że męczysz mnie i siebie? Czyż nie widzisz, że mi twoja praca i twoj talent są teraz niepotrzebne? Czy nie czujesz, że stałabyś się najpiękniejszą z kobiet, gdybyś przypięła różę do przezroczystej sukni, przestała mówić o malarstwie i dała mi całować najpiękniejszą na świecie karnację twojej skóry?!

Marto... Marto...

Emil zajrzy w jej oczy zgłodniałem spojrzeniem, zgniecie w swej ręce jej małą rękę i bez słowa przyciśnie usta do jej rozchylonych ust. Całuje długo. Przecież jest dla ciebie, Marto, człowiekiem „obcym". Za chwilę, kiedy wytrzeźwiejesz, będziesz na niego patrzała z pogardą, jak na kogoś niższego umysłowo i moralnie. Po półgodzinnym twoim oporze Emil pójdzie sobie, trzasnąwszy drzwiami tak mocno, że aż się tynk posypie z futryny. Pójdzie. Niech idzie. Jakże ci to jest obojętne!

**
*

Codziennie popołudniu Marta grywa w tennisa.

Dwie, trzy godziny, aż do zmęczenia, aż do kompletnego wyczerpania. To jedno jej dobrze robi!

Kiedy staje do serwowania, z rozkoszą patrzy poza plac, gdzie za sztachetami wytryskują w górę radosne kiście fjołkowego bzu, różowego głogu i bieleje zrąb tarasu stryjowskiej willi.

Kiedy przechodzi na drugą stronę placu, aby odbijać piłki, cieszy się radosną, równą zielenią trawników, które podchodzą wgłąb aż pod hangary lotniska.

W górze nad równymi rzędami topoli, na niebie zaróżowionem od zachodu zataczają kręgi ptaki samolotów. Są wesołe, szalone, jakby opite radością i wiosną!

**
*

Marta gra z Lu, jej narzeczonym i Rosłankiewiczem. Ten Rosłankiewicz wykazuje wysoką klasę gry, nie oddając przeciwnikowi ani jednego seta. „Smecze" ma pierwszorzędne. Jego „drajwy" przypominają tego niemca, co to na kortach Legji pobił naszego Iksa. Jego „bekhandy" są wspaniałe!

Rosłankiewicz jest olbrzymiego wzrostu, szeroki w barach i wąski w biodrach. Z pełnem zadowoleniem estetycznem można na niego patrzeć, jak na ładny typ Skoczylasowskiego zbójnika.

Lu mówi o Rosłankiewiczu jako o stukaratowym mężczyźnie! Jeżeli Marta chce posłuchać, to dowie się od kuzynki niesłychanych o nim historyj!

Więc?

Rosłankiewicz ma podobno na wsi u siebie w majątku pięcioro dzieci nieprawych! Podobno w Marsylji dostał nożem pod żebro od jakiegoś Otella-marynarza! Podobno raz w Kieleckiem przywiózł do kościoła na Nabożeństwo Majowe swoją starą ciotkę bez duszy, waląc maszyną sto kilometrów na godzinę! Podobno kazał żydom dosiadać koni i oddawał temu pacht, który zrobił cały parcours i kilka wolt pa parku i podjeździe bez błędu!

W przerwie między jednym setem a drugim Marta lubi usiąść na ławce i z tym właśnie Rosłankiewiczem poflirtować.

Wie, że mu się podoba jako jeszcze jedna „nowa" kobieta. Ten znawca umie ocenić jej cienkie kości i jej cienką skórę. Umie też przyrównać jej nogę w kostce do pęcin końskich.

Phi — nie byłby Rosłankiewiczem herbu Bończa, gdyby nie umiał ocenić rasy.

Śmieszny jest i naiwny ze swoją wyższością „dziedzica" nad panną z miasta. Nieuchwytny cień lekceważenia stale towarzyszy jego komplementom, wypowiedzianym na cześć „tej małej" (której ojcie zdaje się rwie zęby).

Nawzajem Marta przyjmuje te komplementy z pewną dozą ironji (Boże drogi, — ten chłopak przecież jest głupi, aż trzeszczy). Nie wie nic o Galsworthym i Kadenie, nie słyszał o Hańczy i Chłopskim!... Zato zna wszystkich ludzi w Polsce dobrze skoligaconych i pięknie ustosunkowanych i orjentuje się znakomicie we wszystkich firmach, które wyrabiają samochody, rakiety i broń myśliwską.

On, Rosłankiewicz, na Św. Huberta był u książąt X królem polowania! Na Riwjerze miał grać w jednej partji z królem szwedzkim, tylko niepogoda stanęła na przeszkodzie. Kupił samochód, który należał do Kronprinza...

Phi...

i takie ładne usta. We wtorek dasz mu się nawet, Marto, pocałować (w ogrodzie stryjostwa kwitną bzy i jest noc majowa). Ale już we środę pożałujesz tego, coś zrobiła. Przecież Rosłankiewicz nie jest tym mężczyzną, na którego czekasz!

**
*

Matka nie może zrozumieć, na kogo Marta czeka? Na królewicza z bajki? Czy na staropanieństwo, które zaszczytu nie przynosi i nie zabezpiecza starości? (Chodzi o to, że Marta robi impertynencje Szenkerowi i „gwiżdże" na Rosłankiewicza, który ma podobno dwa majątki nie obdłużone i blisko stacji kolejowej). Naturalnie, kiedyś córka wspomni przestrogi matki, ale będzie już za późno. Ojciec broni Marty. Według niego, dom, mąż i dzieci odrywałyby Martę od pracy. To takie jasne i proste!

Pani Tarasowiczowa traci panowanie nad sobą. Oh, ma ona już chwilami dosyć tej krótkowzroczności mężowskiej, która nie widzi dalej, niż na odległość dnia dzisiejszego. Czyż Marta może znaleźć lepszą partję od Szenkera? Matce raczej włosy na dłoni wyrosną, niż doczeka się rozsądnego małżeństwa tej szalonej dziewczyny!

Stryjenka Tuta pisze drugi list do Marty. Z tego listu siostrzenica dowiaduje się, że tym razem nie hańbi nazwiska Tarasowiczów, ale je doprowadza do katastrofy! (Stryj może stracić przez Szenkera stanowisko!).

Ale Marta nikogo nie słucha! Rozgląda się po świecie i szuka ze świecą w ręku człowieka, którego... w korcu maku chce znaleźć!

Jest tak naiwna, że w obecnych czasach chce znaleźć bogactwo w duszy, zmysłach i sercu jednego człowieka!

Bagatela!

**
*

Wiosna.

Marta śpi przy otwartych oknach. Wiatr faluje tiulem firanek i niesie z balkonu zapach wilgotny ziemi i rozkwitłych już kwiatów. Księżyc świetlistem pasmem przecina mrok pokoju i odbija się w politurze szafy i w kwadratach posadzki.

Nawet tu, na Wilczej, w mieszkaniu dentysty Tarasowicza jest wiosna!

Ale tej wiosny w życiu córki matka Marty nie rozumie.

I dlatego Marta szuka od pierwszego czerwca dla siebie oddzielnego mieszkania.

MIESZKANIE

Marta ma swoje mieszkanie.

W tem mieszkaniu przedpokój nie ma wcale ścian, tylko czworo drzwi w prostokątach framug.

Pierwsze z tych drzwi prowadzą na schody, drugie do pokoju, trzecie do łazienki, czwarte do kuchni.

Kuchnia ma gazowy piecyk, błyszczące kafle i nikle, automatyczną suszarkę i mechaniczny śmietnik. W tej kuchni Marta sobie sama smaży kotlet cielęcy z kartofelkami i przyrządza sałatę. Szenker mówi, że w białym fartuszku, na tle tej kuchni, zarumieniona od ognia, jest poprostu urocza. U-ro-cza!

Łazienka ma nieproporcjonalnie dużą w stosunku do całego mieszkania umywalnię (z bieżącą wodą zimną i gorącą) i wannę, rozłożystą, oślepiająco białą pod dużem, matowem oknem.

Raj!

Emil wyobraża sobie, jak Marta w tej wannie musi wyglądać!

Marta cieszy się łazienką jak dziecko, wspominając z obrzydzeniem bronzową farbą malowane ściany łazienki swych rodziców.

(c. d. n.).

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Kornel Makuszyński. WYPRAWA POD PSEM.

Żywo i zajmująco pisana książka dla młodzieży, która napewno zyska wielką poczytność. Dzieje trójki przyjaciół, uczniów gimnazjalnych. i psa, podczas pieszej wędrówki po Polsce, pełnej przygód i humoru.

Zygmunt Nowakowski. ZŁOTÓWKA MANOELA.

Opowiadania dla młodzieży, wesołe, doskonale pisane.

Rój

Bruno Winawer. — NOWA ANTENA.

Doskonałe, jak zawsze, feljetony naukowo-popularyzatorskie świetnego pisarza.

J. Otmar-Berson. — MINUS MOSKWA.

Ciekawe wrażenia z podróży po Rosji Sowieckiej.

Roman Tuszowski. — UPAŁY — powieść.

Kazimierz Kosiński. — ZA MURAMI ELSYNORY — studja o Wyspiańskim.

Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska"

Roman Fajans. — WSKRZESZONE DZIEŁO CEZARÓW (notatki z podróży po Libji, afrykańskiej kolonji Włoch)

Wydawnictwo Współczesne

Bruno Winawer. — LITERATURĘ TRZEBA PRZEWIETRZYĆ — doskonałe feljetony, pełne nietylko żartu, satyry, ironji, ale i głębszego znaczenia. Znaczną część tych świetnych feljetonów drukowaliśmy w „Świecie" w ciągu roku ub., przybyły jednak nowe, które bezwzględnie warto poznać.

Wydawnictwo „Parnas Polski"

Zygmunt Krasiński. — DZIEŁA

Popularne wydanie całkowite w 2 wielkich tomach.

Józef Wasowski. — PISARZ I CZYTELNIK — Szereg studjów poświęconych sprawom kultury, czytelnictwa, twórczości etc.

Aleksandra Lubicz-Wolska — KOSMATE RĄCZKI. — Bajka, która uzyskała kwalifikację do Bibljotek Szkolnych Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, w zupełności zasługuje na uznanie.

Paweł Szumilas. — HANUSINE SERCE — opowiadania.. (Dom książki polskiej).

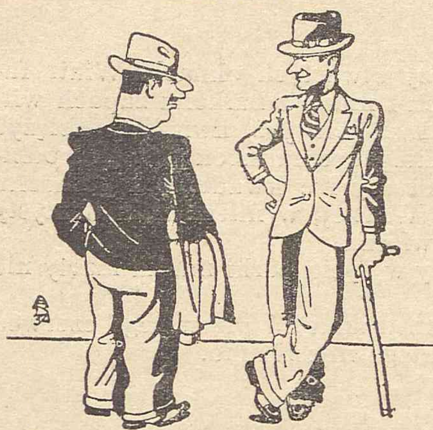
John Westerman — 12 MIESIĘCY DO WYGRANIA — opowieść dla młodzieży z życia harcerzy.

Władysław Konopczyński. — POLSKA A TURCJA — studjum historyczne.

J. Surynowa- Wyczółkowska, — AMBICJE WERONIKI — powieść z życia mieszczaństwa warszawskiego i sfery ziemiańskiej. Autorka z talentem kreśli sylwetki podpatrzone w środowisku warszawskiem.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE!

NIESTETY!



— Podobno szukasz kasjera?
— Nawet dwóch: tego, który uciekł i nowego.

„GIRLASKI" W REWJI



Konferensjer: — I proszę, niech państwo nie zapominają, że w przyszłym tygodniu dajemy nową rewję — z całkowitą zmianą kostjumów!

(Ballyhov)

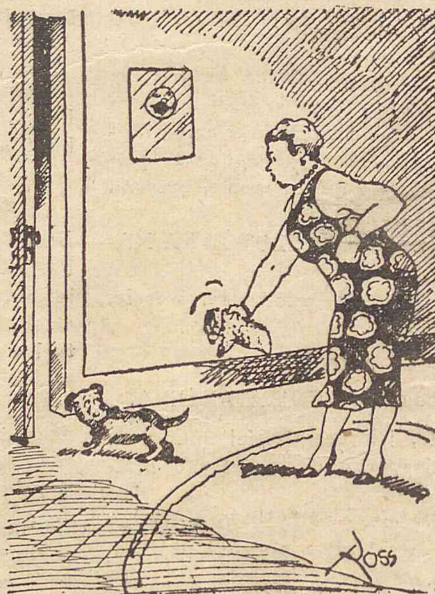
OFERTA



— Szanowna pani ogłosiła, że poszukuje towarzysza do dłuższej podróży luksusowem autem. Oto jestem.

(Everybody's. London)

SAMODZIELNOŚĆ



— Znów cię przyłapałam na wykradaniu się z domu bez palta!

(N. Y. A.)

„JE ME SENS DANS TES BRAS SI PETITE"...



Herriot, przywódca radykałów francuskich. w objęciach Litwinowa.

(Marianne, Paris)

ŻYCIE W KOLORACH

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści W. Bunikiewicza „Życie w kolorach", której druk rozpoczęliśmy w październiku.

— Niech żyje koleżanka Czurska! — zawołał rozpromieniony Władek.

— Niech żyje! — podchwycili zgromadzeni, nie wierząc własnym uszom, że gromadka uczniaków dokonać mogła tak znacznego dzieła.

— Nie żałuję straconych wakacyj, — wyrwał się jakiś młokos, najwidoczniej mamin-synek, — miałem jechać w góry, ale...

— Jaka szkoda! — zawołało nagle kilka głosów, pełnych oburzenia i wyrzutu. — Gniazdo stworzyłeś, ognisko rozpaliłeś, mało ci tego?

— Nie... nie... nie żałuję, — bąkał chłopaczek, usprawiedliwiając nieszczęśliwe odezwanie się,— wspomniałem tylko mimochodem, iż mogłem wyjechać w góry, ale wolałem pracować dla sprawy.

— Rozumie się, że lepiej, — zadecydował Władek, nie wspominając o tem, że przez całe wakacje nie dojadał, nie dosypiał, gdy zaś wracał po kilkudniowej nieobecności do domu, wyglądał jak strach na wróble.

Wedle zawartości jego czupryny można było ustalić z nieomylną pewnością, gdzie spędzał noce, czy na sianie, czy w słomie, czy poprostu pod niebem na trawie.

Ostrożność była wskazana, bo żandarmi interesowali się wakacyjnymi podróżnikami, zwłaszcza takimi, którzy zbyt gorliwie omawiali sprawy, rażące C. K. uszy.

Z dużym sceptycyzmem przyjęli Promieniści wiadomość o powstaniu Koła rolniczego w Siemiątkowie, ale ostatecznie skoro ma nastąpić uroczyste otwarcie obiecali zjawić się na to święto i oddać trzy honorowe salwy z prawdziwych karabinów.

— Wielka szkoda, że nie z działa, — żalił się Czarliński, — bo gdyby siły nie opuściły sztubaków, mielibyśmy całą armatę z amunicją.

Ale smarkacze nie dali rady i zaledwie pociągnęli działo na kilkaset metrów, tak się zziajali, że języki im wyszły na brodę, lecz armatę zagwoździli, bo zmęczeni manewrami kanonierzy zasnęli jak susły, a straż przy działach zajęta była oporządzaniem skradzionego prosiaka.

Pereat wróg!

Natomiast bez kłopotu doszliśmy do posiadania pięćdziesięciu karabinów.

Przy tej liczbie broni moglibyśmy bez trudności opanować Wisłock, wypędzając Schiebera i jego gwardję, ogłosić niezależność, ale tego na razie nie uczynimy ze względów dyplomatycznych.

Władek niedowierzająco spoglądał na Czarlińskiego, pragnąc wyczytać z jego twarzy, czy mówi poważnie, czy też chce brać go na kawał, lecz dorastający Napoleon zaperzył się jak kogut:

— Myślicie, że taka wielka sztuka... Z okazji cesarskich manewrów towarzysze otrzymali polecenie zaopatrzenia się w broń.

Zbierali więc po drogach maruderów i porzucone przez nieuwagę karabiny, a nawet pewien sierżant wtykał nam je do ręki, mówiąc: Bierzcie, chłopcy, strzelcom zdadzą się!

— A ładunków mamy tyle, że wytrzymalibyśmy dwutygodniowe oblężenie, — ciągnął dalej Czarliński, chcąc wykazać Władkowi, że wakacje nie upłynęły na zbijanie bąków.

— O liczbie zaś nowych towarzyszy nie wspomnę, bo gdybym wyjawił, peklibyście z zazdrości, kolego Warneńczyku, — kończył Czarliński, przytykając rękę do daszka czapki, co miało oznaczać, że żegna się i odchodzi.

***

— Wy go nie znacie, — mówił Trybula. — To jest nadzwyczajny człowiek. Przez dwa miesiące mieszkałem z nim pod jednym dachem i przez ten cały czas nie wypowiedział więcej niż sto słów. Każde z nich mam zapisane. Ale zato słuchał. Zdawało mi się nieraz, że odgaduje bieg ludzkich myśli, a gdy ostatecznie załatwiono sprawę mego stypendjum i podziękowałem za gościnę, rzekł mi na pożegnanie:

— Rozumiem burze waszych dusz i porywy serc, raz tylko byłem niespokojny, gdyście przestali być solidarni...

— On wie nawet, że Hania nie chce Wojtka i że ożeniliśmy Kosinusa.

Zmartwiałem, gdy wspomniał o Burdzie i Czarlińskim. Poprostu czarodziej! Czyta w myślach. Na wszystko ma wyrozumienie, tylko łajdaków nie cierpi. Sam mi o tem mówił.

Rozwodząc się nad cnotami dyrektora Nogaja, niewiadomo w jaki sposób znaleźliśmy się w okolicy Luftmaszyny.

Na ulicach było mroczno i pusto, a do jednego z domów przyciskała się postać ludzka.

Był to pijany Wciorek. Chwiał się na nogach, mamrocąc przekleństwa i cyniczne słowa, na widok zaś Trybuli roześmiał się na całe gardło i począł śpiewać:

W jednej ręce buteleczkę,
W drugiej trzymam szlachcianeczkę,
Przytupuję, przytańcuję,
To popiję, to całuję.
Gdy nie zechce, to uśmiercę,
Takie już jest we mnie serce...
Hu, hu...

— Hej, paniczu! Paniczu! Posłuchajcie, jak to było... pięknie to było...

Pod Bobową mieszkał ślachcic, dobry pan, więc go chłopy niezaraz uśmierciły, tylko związali w dwie deski i przerżnęli piłą na połowę.

Straśnie miał twarde kości, a gdy się starsi zmęczyli, nam młodszym kazali piłować. Piłowałem i ja, aż chrupotało.

Wielka to musiała być figura, bo wachmistrz ze starostwa zapłacił za niego aż piętnaście reńskich, a starosta tarnowski zacierał ręce z radości, gdyśmy go przywieźli, przerżniętego na połowę.

Wciorek uśmiechał się na wspomnienie dawnych lat, oczekując od Trybuli papierosa, jak to zwykle bywało, lecz Antek pobladł, zatrzęsły mu się usta i kopnął z całej siły w odęty brzuch dziada.

Wciorek zacharkotał i runął łbem na bruk chodnika.

Chciał jeszcze coś mówić, wargi pokryły się pianą, mruczał niezrozumiałe zdania i za chwilę objął go twardy sen pijanicy.

— Niech popamięta, — zasyczał Trybula i, usprawiedliwiając przed nami i samym sobą brutalny czyn, dodał:

— Zanadto już mi dopalił!

PIORUNY NAD GŁOWĄ

Przygotowania do matury szły pełnym tokiem.

Gnat odbył już konferencję z woźnym i jego żoną, którzy obiecali za wynagrodzeniem stu koron wnosić do sali ściągaczki podczas piśmiennych egzaminów, a do sklepiku Berka zamówiono falangę specjalistów, którzyby opracowali tematy maturalne.

Gnat wynajdował coraz bardziej ulepszone sposoby wciągania wypracowań na drugie piętro, gdzie odbywać się miały egzaminy, opatrywał rynny u okien, myślał o przewierceniu świdrem ścian i o ustawieniu ruchomej deski w powale.

Gdyby i te sposoby zawiodły, zmobilizował najlepszych uczniów, obdzielił ich kalkami i blokami najdelikatniejszego papieru, aby mogli ratować słabeuszów, na wszelki zaś wypadek polecił zaopatrzyć się w niezbędne podręczniki i wynalazł nowy wzór praktycznej kieszeni przyszytej do bielizny, gdzieby mieściły się notatki, słowniki i wszelkie możliwe książki.

W ostatniej zaś chwili Gnat zawiadomił kolegów, iż przy pomocy strażaka zdobył zaufanie Jagusi, kucharki nieubłaganego Greka i uzyska od niej wszystkie pytania, wypisane na notatniku profesora.

Skutkiem tych przygotowań dobry duch wstąpił w maturzystów i najsłabsi uczniowie poczęli pogodnie spoglądać w przyszłość.

Zakwitły już kasztany w alei, coraz gromadniej wysypywali się uczniacy na łąki, leżące nad Wisłockiem, a wieczorami rozbrzmiewały koncerty mandolinistów i serenady wpobliżu okien wymarzonych bohdanek.

Świat się radował szczęściem i wiosną, a dzień każdy przybliżał widmo w postaci matury.

Wreszcie stało się.

Gnat wstał o świcie i obszedł posterunki, upewniając się, czy wszystko w porządku.

Od woźnego otrzymał zapewnienie, iż mimo nieprzewierconej w murze dziury i niewyjętej w suficie deski, wszystko odbędzie się składnie; u Berka zgromadzili się specjaliści do matematyki, filologji i niemieckiego, tylko głupia Jagusia zupełnie zawiodła.

Wprawdzie wykradła profesorowi notatnik i dała go do przeglądnięcia Gnatowi, ale prócz obojętnych zapisków nie znaleziono w nim ani śladu pytań.

Pal sześć! Groźny Grek był teraz dziwnie łaskawy, uśmiechał się dobrotliwie i powtarzał:

— Chłopcy, nie tracić głowy, głupsi od was zdawali matury...

Rzeczywiście, stała się wielka niespodzianka.

Tematy były tak proste, że najsłabsi uczniowie rozwiązywali je bez trudności.

Tylko Wojtek Kicha zawahał się przy zadaniu polskiem, gdyż nie mógł sobie przypomnieć, czy Władysław Laskonogi położył jakieś zasługi dla literatury, czy też nie, ostatecznie wyminął politycznie tę kwestję.

Dziwni są ci nauczyciele, niby się srożą, wymyślają i grożą, w chwili jednak tak poważnej, jak matura, przyoblekają inną skórę i pomagają największym nicponiom.

A mistrzem w tych sprawach był ksiądz katecheta.

Na dzień przed egzaminem wyklął ucznia do siódmego pokolenia za spóźnienie się na nabożeństwo, gdy jednak poplątałem tłumaczenie chóru z Antygony, podpowiedział mi całe zdanie i wybawił z trudności.

Najlepiej jednak wypadł język niemiecki.

Opowiedziałem historję Wilhelma Tella, akuratnie to samo, czego niegdyś uczyłem się dla panny Anny.

Odpowiedź była znakomita.

Jaki ten Władek głupi, że nigdy się nie nauczył tego ustępu, byłby zdał maturę z odznaczeniem, a tak, ledwie się prześlizgnął przez egzamin.

Darowano mu jednak dotkliwe braki w języku niemieckim ze względu na wybitne zasługi na polu społecznem.

Urządzili bowiem na pożegnanie Wisłocka tak wspaniałą majówkę, iż ani przedtem, ani potem nie oglądano podobnej zabawy w tem znakomitem mieście.

Bufet Basi Czurskiej miał ogromne powodzenie, a w dwa dni potem o rękę niepospolitej gospodyni oświadczył się pewien wdowiec z dwoma kamienicami.

Oczywiście, Basia się w nim zakochała.

W OGNIU.

Wszystkiemi drogami i ścieżkami napływały do Ryja gromady ludzkie.

Hotele i domy prywatne nie mogły pomieścić przybyszów, a koszary przemieniły się w koczowisko, w którem panował ścisk, zaduch i bezład.

Ci, którzy nie znaleźli dachu nad głową, odpoczywali w podwórzach, na schodach domów i ulicach, w kurzu, skwarze i głodzie, albowiem władze wojskowe nie były przygotowane na taki wybuch patrjotyzmu, objawiający się nadspodziewanym napływem rezerwistów.

Wójtowie bowiem i żandarmi na wieść o mobilizacji wygnali z chałup wszystkich mężczyzn.

Nie zwracano nawet uwagi na chorobę i kalectwo, gdyż wedle doświadczeń zebranych z przeszłości austrjackiej, wojna rodzi symulantów, którzy są plagą armji i tępić ich należy w zalążku.

(c. d. n.).

ZE SCENY I ESTRADY



„Ciotki Trzy" programem swym w kawiarni Ziemiańskiej w Ipsie wywoływały wybuchy radości wśród małoletnich widzów. Stoją od lewej do prawej pp. Porayska, Chrzanowska, Klimaszewska.

Trzy ciotki. Trzy bardzo miłe ciotki. Takie młode ciotki, co to mogą mieć setki siostrzenic i siostrzeńców, zebrały się i postanowiły skrzyknąć do siebie gromady dzieci, aby im dać zabawę, taniec, piosenkę, bajkę. Pomysł bardzo dobry. Przedstawienie — zabawa, wykonawcy i słuchacze zespoleni tematem produkcji, a nie rozdzieleni estradą czy sceną.

Tak pojęty program - zabawa w wykonaniu „trzech ciotek" może nietylko stać się weselem i rozrywkę dzieci - widzów, dzieci - słuchaczy, ale może również wychowywać powoli taką publiczność, co kiedyś, kiedy przyjdzie do teatru, czy na koncert, nie będzie się wstydziła swej wrażliwości, co będzie brała żywy udział w grze aktorów, w rozwoju akcji. Publiczność, co nie będzie się wstydziła bić brawa, co potrafi syknąć, mieć łzy w oczach i spadać z krzesła ze śmiechu, bez ujmy dla swego... dostojeństwa.

Wykonany pierwszy program „Trzech Ciotek" w Ziemiańskiej na placu Marszałka przyjęty był przez młodocianych widzów radośnie. „Ciotki" były oklaskiwane — a program swój wykonały z zapałem, werwą i pedagogicznym artyzmem. *L.*

NAJPIĘKNIEJSZA MODELKA NOWEGO YORKU



Miss Mardce Hoff uznana została przez specjalne jury malarzy i rzeźbiarzy za najlepiej zbudowaną modelkę Stanów Zjednoczonych. Piękne dziewczę z czarującym uśmiechem patrzy na nas z załączonej fotografji.



LENA ŻELICHOWSKA,
Jedna z najbardziej utalentowanych artystek rewjowych i scenicznych młodego pokolenia, występuje obecnie z wielkiem powodzeniem w „Cyruliku Warszawskim".

Z „CYRULIKA WARSZAWSKIEGO"



Stefcia Górska.

ŚWIAT TEATRU

Teatr Marji Malickiej

Trafika pani generałowej, *komedja w 3-ch aktach Wł. Bus-Feketego. Przekład E. Gałuszkowej. Reżyserja Karol Benda. Dekoracje St. Kurman.*

Dziwne się dzieją rzeczy w trafice pani generałowej. Dwie piękne córki rwą się do życia. Mizzi ekspedjentka „umarła" dla technika dentystycznego, ale zawsze jest dla pana doktora Szlaffa. Niedostatek siedzi arogancko rozwalony na ubogiej ładzie. Pani generałowa płacze, o byle co pochlipuje. Pani generałowa nie może się oswoić z tem, że dawni koledzy jej męża, dla których w jej apartamentach stały pudełka z cygarami à discrétion, teraz przychodzą do jej trafiki, aby takie pudełka kupować i za nie płacić. Pani generałowa ze zmianą sytuacji *nie może się* pogodzić, a jej starsza córka Lola *nie chce* się pogodzić. Więc Lola usidla starego hrabiego, ma od niego kolje, jedwabne pyjamy, obiecaną podróż do Ostendy, więc rzuca męża urzędniczynę i szykuje się do „odlotu" w wielki półświatek.

Ale w tej smutnej, płaczliwej, ubogiej trafice nagle zdeklasowanych kobiet jest jeden promień słońca! To młodsza córka generałowej — Gerti — świeżo upieczona maturzystka. Dziewczyna niezepsuta, energiczna, chełpiąca się tryumfami sportowemi, ale jednocześnie posiadająca maturę wystrojoną „celującemi" z historji, geografji, matematyki i t. p. Jednem słowem, dzielna, pełna uroku dziewczyna, w miarę naiwna, dostatecznie nowoczesna, wyposażona w temperament, wdzięk i energję.

Gerti nie chce, żeby siostra stała się kokotą, Gerti nie chce, aby matka płakała, Gerti nie chce, aby ciemięgę Antoniego — męża Loli spotkało nieszczęście. Gerti nie chce, aby hrabia pojechał z Lolą.

Gerti chce, aby hrabia z nią się ożenił, bo Gerti szybko, bardzo szybko, lekkoatletycznie, rekordowo zakochała się w młodym arystokracie.

Więc Gerti rozwija swe strategiczne zdolności, walczy o cnotę siostry, a wpada w sytuacje tak drażliwe i skomplikowane, że ratuje ją z nich tylko jej naiwność i 18 lat!

Oczywiście, że wszystko dobrze się kończy. Młody hrabia na serce odpowiada sercem. Lola rzuca starego hrabiego, nim „przyszło co do czego", Antoni „na wiwat" stawia... aż taksówkę. Generałowa płacze, ale ze szczęścia — a publiczność bawi się, śmieje, bije brawo i cieszy się, że na beztroskiej, głupiutkiej, ale niepozbawionej wdzięku komedyjce zapomniała o zmartwieniach i że mogła się śmiać i rozerwać!

Komedja Bus-Feketego poprowadzona jest żywo i zręcznie. Djalog obfituje w zabawne, często niespodziewane momenty, dzięki czemu bezpretensjonalna komedyjka staje się filuterna i wesoła. Wyreżyserowano „Trafikę" bardzo starannie i sumiennie, całość przedstawienia miała odpowiednie tempo. (Parę usterek w scenkach drugorzędnych zniknie zapewne na dalszych przedstawieniach).

Rolę Gerti grała Malicka. Zalotność, wdzięk, rozbrajająca naiwność i rezolutna kokieterja tej małej kobietki, przeistaczającej się w przeciągu 24 godzin z podlotka w podbijającą dziewczynę, znalazły w Malickiej idealną wprost odtwórczynię. Urok artystki rozwinięty w pełni w tak dobranej roli zdecyduje o murowanem powodzeniu komedyjki Bus-Feketego. W roli młodego hrabiego Benda był w miarę elegancki, taktowny i staranny.

Ordyńska, Kamińska (pełna zacięcia Mitzi), Opaliński, efektowna Kryńska, Brokowski, Maniecki — stworzyli sprawny, dobry zespół.

L. Ch.

Z PRACOWNI NASZYCH RZEŹBIAREK

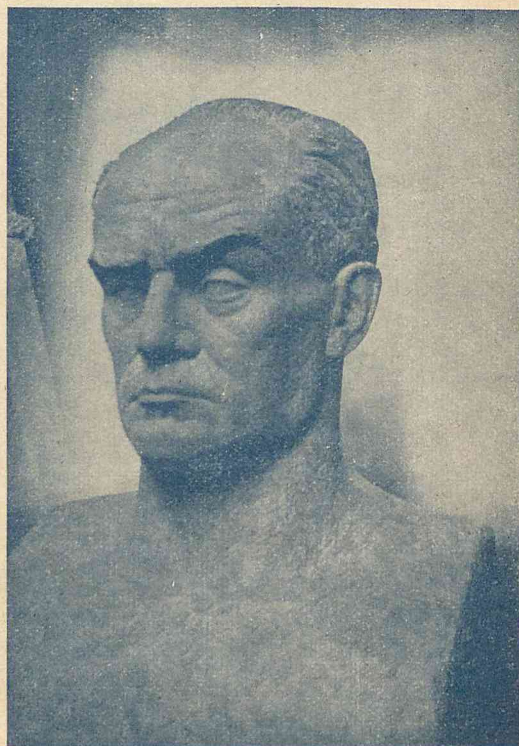


JULJA KEILOWA

„Główka" (marmur) wystawiona na Salonie Jubileuszowym Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.

HANNA NAŁKOWSKA-BICKOWA

Popiersie Stefana Żeromskiego.



TYDZIEŃ ŚWIATA

Podczas swej wielkiej mowy, która uratowała rząd, P. Laval poruszył w sposób sobie właściwy: jasny i otwarty — sprawę porozumienia Francji i Niemiec. „Dopóki nie nastąpi zbliżenie Niemiec i Francji, — oświadczył Laval — dopóty nie będzie realnych gwarancji pokoju".

A w jednem z następnych zdań dodał, iż to zbliżenie „winno nastąpić w ramach powszechnej organizacji bezpieczeństwa kontynentalnego".

To zdanie uzupełniające nie znalazło poklasku w prasie i opinji niemieckiej. Jest to bardzo znamienne. Podkreśla to jeszcze raz, iż Niemcy Hitlerowskie, wyznające zasadę paktów, czy porozumień dwustronnych, wrogo patrzą na genewską metodę powszechności bezpieczeństwa. Ta metoda jest nawet stale i wyraźnie potępiana. Przedwczesne więc są wszelkie „radości", wyrażane z racji ewentualnego powrotu Niemiec do Genewy.

Dwie bardzo znamienne rozmowy, jakie miał kanclerz Hitler w ciągu ostatnich tygodni, to rozmowa z ambasadorem Francji François - Poncet'em i z sir Erikiem Phipps'em.

W rozmowie z ambasadorem Francji głównym tematem był pakt francusko - sowiecki. François - Poncet wyjaśniał, że pakt ten bynajmniej nie jest skierowany przeciw III-ej Rzeszy i że jest najzupełniej otwarty i umożliwiający Niemcom przystąpienie doń. Odpowiedź Hitlera była dość wymijająca. Mówił on o tendencjach dobrych stosunków z Fransją, ale to wszystko. O organizacji bezpieczeństwa, o powszechności bezpieczeństwa w odpowiedzi tej było głucho.

Aby zaś nie było wątpliwości, niemal bezpośrednio po tej rozmowie „Berliner Tageblatt" precyzował: „p. Laval zrozumie z łatwością, iż jest to nam zupełnie obojętne, czy podobny pakt wchodzi w skład mechanizmu Ligi Narodów, czy jest poczęty w myśl starych metod. Potrzeba porozumienia się z Sowietami, na wypadek konfliktu, nie może natomiast ujść naszej uwadze. Nie wierzymy w poprawę sytuacji europejskiej bez radykalnej zmiany podobnych metod".

Skoro więc Francja, czy inne państwo zawiera jakieś porozumienie bilateralne — Niemcy potępiają te „stare metody". Jeśli jednak im robią propozycję powszechności bezpieczeństwa, odrzucają system genewski, który mógłby im krępować ręce.

W ostatnich dniach Niemcy badały teren w Anglji, czy nie dałoby się wznowić rozmów na temat zbrojeń — to niemieckie badanie pulsu angielskiego nie dało jednak rezultatu.

Rozmowa zaś sir Eryka Phipps'a z Hitlerem znowu toczy-

Grzeczne dzieci u Prezydenta Francji



Najpilniejsze dzieci ze szkół paryskich były, jak corocznie, na wielkiem przyjęciu gwiazdkowem u prezyd. Lebruna, którego widzimy stojącego (zwrócony profilem) wśród swych małych gości.

Dzień matki i dziecka w Rzymie



W Rzymie córka króla włoskiego, księżniczka Marja (pierwsza z lewej) rozdaje nagrody matkom, które mają najliczniejsze potomstwo.

ła się dookoła bezpieczeństwa powszechnego i powrotu Niemiec do Genewy. Kanclerz Hitler zdecydowanie odrzucić te możliwości, nie uznając obowiązku bezpieczeństwa powszechnego. Zobowiązanie ograniczone — dające mu wolną rękę w zakresie armji i awjacji, oto wszystko, co może on uznać. A przytem przypomniał on swemu angielskiemu rozmówcy, iż nie poniechał swych żądań, dotyczących nowego podziału kolonji. Sir Eryk Phipps opuścił Berlin z przekonaniem, że ten rozdział niemieckich rewindykacji już wkrótce stanie się aktualny.

NIECH NIE WIE LEWICA, CO CZYNI PRAWICA

Rząd premjera Kościałkowskiego od pierwszej chwili wzywał społeczeństwo do współpracy. Minister Kwiatkowski poszedł dalej: w rozmowie noworocznej z dziennikarzem wyraził życzenie, aby społeczeństwo wyrażało głośno krytykę realnych głupstw biurokratycznych, aby podawało do wiadomości o istniejących nonsensach, aby tępiło nadużycia.

Tylko cóż? Społeczeństwo by chciało — ale nie wie, jak to zrobić.

W parlamencie — wypowiedzieć się w sposób całkowity nie wolno (vide—ocenzurowana przez marszałka Senatu mowa ks. Radziwiłła). W prasie? Marzenia nierealne. Konfiskuje się nietylko pisma narodowe i socjalistyczne — konfiskuje się już i pisma *prorządowe* („Czas" lub „Dziennik Poranny"). Może nie jest to robione w porozumieniu z rządem. W takim razie nieodpowiednio stosowana cenzura powinna być poskromiona przez władze najwyższe. Jakoś dotąd, o tem nie słychać.

Proponujemy min. Kwiatkowskiemu zaprowadzenie na terenie Warszawy inowacji, która w starej, mądrej, politycznie zrównoważonej Anglji jest już znana od wieków.

W Hyde Parku w Londynie stoi kilka mównic. Każdy przechodzień może sobie wleźć na taką mównicę i wygrzmocić mówkę, o czem chce. O buddyzmie, o sztuce japońskiej, o głupocie ministra spraw zagranicznych, o klęsce bezrobocia, o kubizmie, o handlu bronią, o przyczynach i skutkach złych rządów, i t. d. O ile wiemy — nie wolno tylko z mównicy wygłaszać krytyki członków angielskiego domu panującego. *Poza tem innych tabu niema.*

Sądzimy, że ustawiwszy na Placu Marszałka Piłsudskiego choćby jedną taką mównicę, dałoby się nareszcie społeczeństwu obiecywane... prawo głosu. Powodzenie murowane. Kto wie — możnaby nawet słuchaczy wpuszczać za opłatą kilkudziesięciu groszy. Dochód pewny — o wiele pewniejszy, niż z *podwyższonych* podatków dochodowych od... grubo obniżonych dochodów.

ZAPISZ SIĘ NA CZŁONKA L.O.P.P.



ŻOŁĄDEK PARYŻA pochłonął całe tonny kiełbas i szynek pod czas świąt.



Willa Gloria na Riwierze francuskiej, gdzie jakoby ma zamiar osiedlić się Lindbergh z rodziną.

PREZYDENT REPUBLIKI I PREMJER — OSKARŻENI

(Korespondencja własna „Świata")

Madryt — w styczniu.

Kryzys.

Atak na prezydenta Republiki i na premjera.

27 rządów w przeciągu 4-ch lat!

Wzrost komplikacji i zamęt kompletny, oto obraz sytuacji, obraz niecodziennego chaosu, w jakim znajduje się w chwili obecnej Republika Hiszpańska.

W poprzedniej korespondencji zaznajomiłem czytelników „Świata" z niesłychaną korupcją, z łapownictwem ministrów i... premjerów, zdemaskowanych w aferze Strausa. Afera ta pozbawiła umiarkowaną lewicę radykałów hiszpańskich szefa, utrącony bowiem został premjer Aleksander Lerroux, wmieszany w hochsztaplerskie afery swego siostrzeńca. Przesilenia rządowe od tego momentu stały się niemal chroniczne. Obecny gabinet p. Portela Valladares jest siódmym w ciągu 12 miesięcy! Powołanie tego gabinetu ma w chwili obecnej już posmak sensacji. Wślad za nim nastąpiło bowiem oskarżenie premjera i prezydenta Republiki Zamorry o pogwałcenie Konstytucji. Prawica — mniej lub więcej zamaskowani rojaliści — żąda postawienia prezydenta i premjera przed Trybunałem Stanu. Jest to Trybunał gwarancji konstytucyjnych.

Oskarżenie prezydenta będzie miało niewątpliwie efekt i wpływ na bliskie już wybory, chociaż dla wydania prezydenta Trybunałowi zabraknie prawdopodobnie kwalifikowanej większości w Kortezach. Natomiast pociągnięcie do odpowiedzialności premjera ma widoki powodzenia.

Cofnijmy się jednak na chwilę wstecz, spójrzmy na przyczyny i rozwój ostatniego przesilenia.

Utworzywszy rząd, po upadku gabinetu Chapaprieta, premjer Portela Valladares uważał za swój pierwszy obowiązek przeprowadzenie wyborów. Pragnął on w czasie wyborów zachować maksymalną neutralność. Tak to się nazywało programowo, w gruncie rzeczy jednak ta objektywność rządu była wymagana przez prezydenta Zamorrę, sympatyzującego z tworzącym się blokiem lewicy. Blok lewicy zaś jest obecnie w trudnej sytuacji, gdyż nie posiada reprezentacyjnych i wybitnych przywódców. Lerroux się skompromitował. Azana nie posiada za sobą nawet własnego silnego stronnictwa, Largo Caballero (socjalista) jest zbyt czerwony, aby za nim prócz socjalistów poszli inni.

Po drugiej zaś stronie barykady jest przedewszystkiem Gil Robles! Twórca prawego centrum, człowiek, który skonsentrował w unji: katolików, konserwatystów, liberałów, agrarjuszy, umiarkowanych radykałów. Powstanie pierwszego rządu Portela Valladares'a było chwilową porażką Gil Roblesa. Wysunięcie przez rząd, z inicjatywy prezydenta Zamorry, zasady nie wpływania na wybory było również groźne dla stronnictw umiarkowanych, gdyż tylko idąc razem, łącząc się w obliczu demagogicznej akcji komunistów, anarchistów i ciągnących za nimi socjalistów i radykałów mogą oni marzyć o zwycięstwie. Stan obawy, podniecenia, walki — parł te stronnictwa do łączności.

A tymczasem po przesileniu 14 grudnia blok tych stronnictw rozprzęgł się. Niebezpieczeństwo klęski wyborczej, rozsiadło się na progu parlamentu — posłanego na wakacje.

Gil Robles postanowił działać.

Ministrowie Chapaprieta, Alfredo Martinez i Martinez de Velasco, reprezentujący w gabinecie liberalnych demokratów i agrarjuszy, zażądali, aby rząd wypowiedział się zdecydowanie po stronie bloku narodowego. Premjer Portela Valladares — podtrzymany przez prezydenta Zamorrę — nie podzielił tego poglądu. Dyskusja na posiedzeniu gabinetu była niesłychanie gwałtowna — jej rezultatem była dymisja rządu. Nowy gabinet już powstał — jego premjerem jest ponownie Portela Valladares. Chapaprieta, Martines i Martinez de Velasco — nie są ministrami!

Pozornie zwyciężyli prezydent i premjer. Ale nowy rząd składa się w swej większości z działaczy pozaparlamentarnych — w tem tkwi jego słabość, chociaż prezydent Republiki określił ich właśnie jako działaczy „którzy nie wezmą udziału w przyszłej walce wyborczej". Ten stan rzeczy byłby nawet ideowo i programowo godzien pochwały, gdyby nie było w nim hypokryzji.

Hypokryzja rządu rzekomo najczystszych in spe wyborów polegała na tem, iż pragnął on odroczyć termin rozwiązania Kortezów, aby mieć czas mianować nowe komunalne komisje wyborcze i aby przeciągnąć obecne lewe skrzydło bloku narodowego i pogodzić je z blokiem lewicowym. Zamierzona zmiana osób w komisjach wyborczych, istniejących od czasu poprzednich wyborów, zaniepokoiła stronnictwa umiarkowane i narodowe. Postanowiono pokrzyżować plany rządowe.

Takiem posunięciem stało się właśnie oskarżenie Zamorry i Valladares'a o pogwałcenie konstytucji.

Posłowie - monarchiści uważali, iż przedłużenie budżetu za pomocą dekretu i przedłużenie wakacji parlamentarnych do końca stycznia są posunięciami antykonstytucyjnemi i że za tego rodzaju działalność winni być obaj dostojnicy państwowi pociągnięci do odpowiedzialności ze 157 paragrafu kodeksu karnego. Ponieważ występek ten popełniony został w czasie zamknięcia Kortezów, przeto istniejąca parlamentarna „stała delegacja" ma prawo zwołać parlament, aby oskarżenie rozpatrzył. To są punkty wyjścia oskarżenia. Oskarżenie przeciw prezydentowi musi być podpisane przez $^{1}/_{4}$ posłów— to znaczy trzeba 109-ciu podpisów. Przeciw premjerowi wystarcza jedna dziesiąta, wystarczy więc zebrać 44 podpisy.

Uniknąć postawienia przed Trybunłem gwarancji konstytucyjnych premjer i rząd mogą tylko w jeden sposób — ogłaszając dekret rozwiązania parlamentu. Ale wówczas nie zdążą mianować swoich komisji wyborczych. Dając również ogromny atut agitacyjny stronnikom Gil Roblesa, który już dziś w swej mowie w Barcelonie zapowiedział: „Kiedy powrócimy do władzy, przepędzimy wszystkie elementy rewolucyjne, a również wszystkie osoby, choćby najwyżej stojące, które uniemożliwiają nam obecnie politykę porozumienia i pacyfikacji."

Rodriguez.

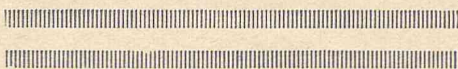
Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. P. Antoni Żebrowski

Dyrektor Oddziału Państwowego Banku Rolnego w Gdyni urodził się w ziemi wileńskiej w 1871 r. Kształcił się w Rydze i Berlinie. Pracę rozpoczął w polskim banku w Wilnie, skąd przeszedł na stanowisko dyrektora oddziału tegoż banku w Mińszczyźnie. Po dziesięcioletniej działalności na tamtejszym terenie Zmarły pracował jako dyrektor banków syberyjskich w Tobolsku, Tomsku i Streteńsku. W 1925 r. wrócił do Polski, gdzie w 1927 r. powierzono Mu zorganizowanie w Gdyni oddziału Państwowego Banku Rolnego; z zadania tego wywiązał się chlubnie. Ś. p. Żebrowski przez całe swe życie stał na straży godności Polaka, jednając sobie serca ludzkie prawością charakteru, uczciwością i wrodzoną skromnością, nie pozwalającą Mu na wywyższanie się ponad innych. Dzięki tym zaletom charakteru zjednał sobie miano pioniera uczciwości. Dowodem ogólnego uznania i sympatji dla Zmarłego był nadzwyczaj liczny udział społeczństwa nietylko gdyńskiego w pogrzebie i stosy wieńców, złożonych na Jego mogile. Zmarł dn. 21 grudnia 1935 r.

Cześć pamięci godnego Polaka!





Ś. P. Wilhelm Leman

„Magja książki"

Niejednokrotnie podnoszono sprawę, iż krzewienie czytelnictwa, a wraz z tem kultu książki, zacząć trzeba od podstaw. Intencjom tym czyniąc zadość, wydała firma Gebethner i Wolff niewielką objętością ale ważką treścią książeczkę p. t. „Magja książki" świetnej poetki i bibljofilki, p. Zuzanny Rabskiej.

Na treść tej pedagogicznie cennej książeczki składa się siedem opowiadań, zwięzłych w treści i doskonałych w formie artystycznej, których bohaterem jest książka. W treść swych opowiadań wplata autorka w sposób dyskretny i nienużący młodego czytelnika naukę o znaczeniu książki, o jej użyteczności społecznej, o pięknie pisanego słowa, o emocjonalnych wartościach literatury, o dawnych rękopisach, o oprawach książek, bibljotece Jagiellońskiej i jej zasługach, wreszcie o książkach dla ociemniałych.

W opowiadaniach tych dotarła autorka do sedna spraw wychowawczych, interesujących nietylko pedagogów, ale całą polską współczesność kulturalną, zdającą sobie sprawę, że najmłodsze nasze pokolenie najwyraźniej odwraca się od książki i nie wyrasta w kulcie dla nauki i literatury.

Nie daje jej tego współczesna szkoła, zajęta innemi zagadnieniami.

Dlatego bezpretensjonalna książeczka p. Zuzanny Rabskiej wypełnia tę lukę wychowania publicznego i spełnia doniosłe zadanie pedagogiczne wśród rzesz uczącej się młodzieży.

I dotrzeć tam winna najspieszniej, stając się w rękach nauczyciela nieodzownym podręcznikiem.

Dr. B. W.

W. HUHN

ROZTARGNIENIE

(Nowela)

— Dlaczego zostałem kaleką? — Tak jest, proszę pani, przez pojedynek. Przedtem stałem mocno na nogach, tak samo, jak inni ludzie. Pyta pani, czy cierpię? Mój Boże, z biegiem czasu można się przyzwyczaić nietylko do tego, że trzeba chodzić przy pomocy laski. Lecz mnie stale dręczy myśl, że pojedynek ten wyniknął z takich głupstw... Pani chce, żebym wszystko opowiedział? Niezbyt chętnie mówię o tem, ale... niech będzie.

Poznałem ją na okręcie, wracając do kraju z Afryki. Okręt — to grunt wyjątkowo podatny dla flirtu. Leży się całemi dniami bezczynnie na szezlongu; słoneczko grzeje, wietrzyk przyjemnie muska skronie, wieczorem stoi się na dziobie okrętu, podziwiając tropikalne niebo i słuchając cichego plusku fal.

Nigdy nie byłem Don Juanem, i kobieta zamężna była dla mnie nietykalną. Ale na okręcie wszystko się zmieniło.. Zakochałem się w małej, wesołej, jasnowłosej istotce, której życie przy boku ponurego męża nie musiało być promiennem.

Nigdy nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób zeszli się z sobą ci ludzie. Nieraz później drażniłem ją, że wyszła zamąż przez roztargnienie. Albowiem właściwością tej małej kobietki było niesłychane roztargnienie, doprowadzające jej męża do rozpaczy.

Zawsze coś gubiła; chusteczkę do nosa, szal, portmonetkę... Zapewniała wtedy, z szeroko otwartemi, przestraszonemi oczami, że te rzeczy są już, naturalnie, na zawsze stracone, a wkrótce potem odnajdywała je bez trudu...

Niema takiej wady, która potrafiłaby nam obrzydzić umiłowaną kobietę. Więc po całych dniach polowałem na jej zagubione rzeczy, odnosiłem je posłusznie i byłem najzupełniej pewny, że zawsze znajdzie się jeszcze coś do szukania... Przytem, przyjaźń nasza zacieśniała się coraz bardziej.

Wieczorami, gdy mąż jej grał w salonie w skata, ratowała się od samotności spacerami po pokładzie, gdzie ja już na nią czekałem, Strasznie się bała Europy, której zupełnie nie znała. Raz, kiedy mąż jej — straszliwy grubijanin — obszedł się z nią szczególnie ostro, przybiegła do mnie zalękniona i zalana łzami. Zrobiłem to, co zrobiłby każdy inny mężczyzna na mojem miejscu: pocałunkami osuszyłem łzy, wyznałem swoją miłość i przyrzekłem, że będę zawsze jej ostoją.

W kilka dni potem przyjechaliśmy do Hamburga, i Erna z mężem udała się w dalszą podróż do Berlina. Ja zaś zatrzymałem się jeszcze pewien czas i wróciłem do Berlina dopiero w początkach zimy. Dwa czy trzy razy otrzymałem od Erny kilka słów na widokówkach, które trafiły do moich rąk z wielkiem opóźnieniem. Przy swojem roztargnieniu nie mogła, oczywiście, dokładnie zapamiętać adresu. Powróciwszy do Berlina i urządziwszy się znów wygodnie w swoich czterech pokojach, zaczekałem jeszcze cały tydzień, zanim poszedłem do niej.

W Berlinie odzyskałem całkowicie swoją rozwagę, bałem się igrać z ogniem i nie chciałem się sprzeniewierzać swoim zasadom.

Koniec końców, poszedłem jednak do niej. Kiedy ujrzałem jej wychudłą twarzyczkę i wielkie ciemne oczy, spoglądające z takim smutkiem, poczułem skruchę, że opuściłem ją na tak długo. Niebardzo się skarżyła, ale jej wygląd sam mówił za siebie.

— Czuję się tak samotnie — mówiła, — ja nie umiem obcować z ludźmi. Ich zainteresowania są mi obce, a pozatem — uśmiechnęła się — pan zna moją nieszczęsną pamięć! ... Ja stale robię głupstwa: Rozwódce opowiadam o jej pierwszym mężu, a starego generała pytam o marnotrawnego syna. I mąż wtedy gniewa się na mnie. On chce prowadzić dom otwarty, a ja jestem dlań tylko zawadą.

Potem przyszedł mąż, promieniejący, odmłodzony, zadowolony z całego świata i z siebie. Radośnie przywitał się ze mną.

Musiałem zostać u nich na obiedzie. Policzki małej gosposi zaróżowiły się i nawet krzyk męża nie wytrącił jej z dobrego nastroju. Powodem krzyku zaś była depesza, którą Erna, swoim zwyczajem, zapomniała oddać mężowi i której szukała dobre pół godziny.

Od tej chwili bywałem u nich prawie codziennie. Mąż gorąco mnie zapraszał, a Erna stawała się z każdym dniem weselszą. Mnie jednak żal jej było coraz więcej. Jej mąż odwiedzał stale bary i nie krępując się, bawił się coraz weselej. Dlatego dawne skrupuły pomału przestały mnie krępować. Dlaczegoż nie miałem przycisnąć do swego serca tej, którą kto inny odtrącał?

Przeżyliśmy cudną wiosnę. Mąż Erny był bardzo zadowolony, że pokazywałem jego żonie okolice Berlina.

Automobil mój zatrzymywał się codzień po obiedzie przed jej domem i udawaliśmy się razem gdzieś za miasto. Cieszyła się, jak dziecko, i wycieczki te pogodziły ją z Berlinem, który wydawał jej się dotychczas tak smutny. Odwoziłem ją do domu punktualnie, między siódmą a ósmą wieczorem.

Jeżeli była brzydka pogoda i nie można było wyjechać, spędzaliśmy czas siedząc u nich w domu. Lecz to mi się nie podobało. Jakoś tak się samo złożyło,

że ona przyszła do mnie. Dżdżyste wiosenne dni stały się dla nas dniami szczęścia. Nikt nas nie śledził, i po pierwszych obawach, wizyty Erny stały się powszednim zwyczajem.

Denerwowaliśmy się tylko zawsze przed jej odejściem — zawsze czegoś szukała. Nie pamiętała, gdzie położyła rękawiczki, woalkę lub torebkę, i zaczynały się nerwowe, poszukiwania zagubionych rzeczy. Ale najczęściej szukany przedmiot znajdował się tuż pod ręką Erny...

Raz po obiedzie znów była u mnie, lecz śpieszyła się do domu, gdyż wieczorem spodziewała się gości; w liczbie zaproszonych byłem również i ja. Szykując się do odejścia, nie mogła znaleźć brylantowej szpilki.

Z początku byłem pewny, że szpilka odnajdzie się tak samo, jak odnajdywały się zawsze te rzekomo zagubione rzeczy. Lecz tym razem szpilka nie znalazła się, chociaż ja sam i mój Jan wzięliśmy czynny udział w poszukiwaniach. Erna rozpaczała. Szpilka była ostatnim podarunkiem, jaki otrzymała od męża i gdyby zginęła, mąż urządziłby straszliwą scenę. Lecz, koniec końców, nie pozostawało nic innego, jak wracać do domu bez szpilki.

———

Przyszedłem do nich o ósmej. Obiad minął szczęśliwie, jeśli nie liczyć tego, że Erna zapomniała zamówić lody i zapodziała gdzieś karty z nazwiskami gości.

Po deserze siedzieliśmy w bibljotece jej męża, a następnie w buduarze Erny. Rozmowa nie kleiła się, gdyż Erna nie umiała jeszcze zręcznie prowadzić rozmowy. Myśli jej bujały, jak zwykle, gdzieindziej. Nagle, gdy poruszyła się, ujrzałem pod jej ciemnym trenem coś błyszczącego. Schyliłem się, podniosłem i podałem jej przedmiot: szpilkę z cudnym brylantem.

— Czy to pani szpilka? — spytałem. Erna schwyciła szpilkę, zmieszała się i powiedziała wśród ogólnej ciszy:

— Fryderyku, przecież to jest ta sama szpilka, której dziś po obiedzie szukałam cały czas u ciebie...

W tej samej chwili, sponsowiała i szepnęła zupełnie zmieszana:

— Mój Boże, co ja powiedziałam!...

Stanowczo, nie powinna była powiedzieć tego. Obecni nagle zaczęli mówić o czemś innem, aby zatrzeć wrażenie. Sam gospodarz udał, że nic nie zauważył.

Nazajutrz przysłał mi sekundantów. Jej wspaniałomyślnie przebaczył... Może dlatego że sam nie był bez grzechu...

Teraz mieszkają gdzieś we Włoszech. Ta mała, zapominalska kobietka, pewno już nie myśli o tem, że jej roztargnienie obdarzyło mnie na całe życie kalectwem.

CARMEN RIBALTO I LIDJA SPASSOWA W WARSZAWIE

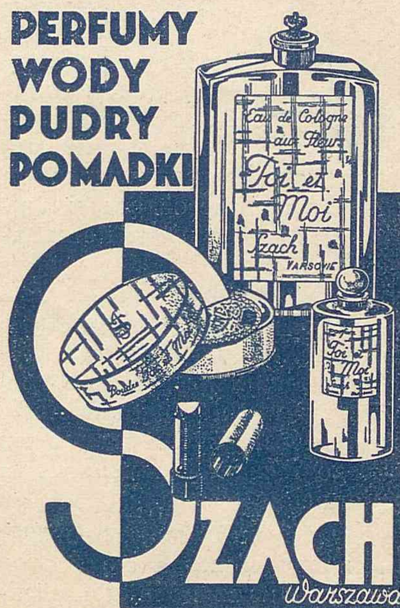
Do przemiłych podziemi Paradisu zawitały znowu dwie znakomitości. Hiszpańska tancerka Ribalto z Barcelony pokazała nam na premjerze oryginalne tańce i stroje narodowe hiszpańskie: białą suknię całą z koronki oraz hiszpańskie narodowe przybranie głowy. Ribalto tańczy cały czas z kastanietami. Są to rzeczy nadzwyczaj trudne i dlatego wzbudzają na sali entuzjazm. Podobne tańce znane były w Warszawie tylko z ekranów świetlnych. Druga tancerka Lidja Spassowa przenosi nas na Bałkany. Już same stroje tancerki wskazują, że reprezentuje ona pogranicze turecko-bułgarskie lub Bośnię i Hercegowinę, słowem, gdzie świat słowiański styka się ze światem tureckim.

Obie tancerki występują codziennie w dancingu Paradis, Nowy Świat 3.

AUTENTYCZNE

Dyrektorem gimnazjum imienia Kołłątaja w Krakowie jest profesor Wiktor Romański. Pewnego rana do gimnazjum przychodzi matka jednego z uczniów i pyta woźnego, czy może się widzieć z dyrektorem Kołłątajem. A otrzymawszy odpowiedź, iż taki dyrektor nie egzystuje — powiada:

— Jakto? Przecież tylko co widziałam, jak wchodził przedemną do szkoły.



słuchamy płyt

Na pierwszem miejscu dzisiejszej recenzji należy umieścić doskonałe tango „Noc cygańska" (Syrena-Elektro), oparte na motywach, pełnych zmysłowego czaru dzikiej a tak swoistej harmonji muzyki cygańskiej. Specjalnie charakterystyczny jest wstęp. Ślicznie brzmi metaliczny głos Fogga na tle łkających koloratur skrzypcowych lub wibrującej gitary.

Z drugiej strony płyty — jedno z najlepszych obecnie tang, „To ostatnia niedziela", Petersburskiego. Mimo, że wiele motywów przypomina dawne szlagiery, całość, dzięki oryginalnej harmonizacji, zupełnie dobra. Melodja głęboko przenikająca do serca, tembardziej, że tęsknota, dźwięcząca w głosie Fogga, nadzwyczajnie oddaje nastrój tego przeboju.

Płyta ta jest doskonale nagrana z obu stron. Wszystkie instrumenty mają głęboki, piękny ton.

Dwa inne tanga „Twe oczy mówią kocham" i „Dowidzenia Madame" (Fogg skarży się na zmienność uczuć kobiety) są melodyjne, ale harmonizacja nieciekawa. Czy to trochę nie zadużo tych krajowych tang? Utarło się już takie mniemanie, że Polacy (czytaj: obywatele polscy wyznania mojżeszowego) celują w komponowaniu tang, Anglicy w foxtrotach, a wiedeńczycy w walcach. Wydaje mi się to niesłuszne. Czyż nie dosyć tego ckliwo-sentymentalnego i roztkliwiającego się nastroju? Raczej należałoby sądzić, że po mazurze i kujawiaku — nasza niefrasobliwość i wesołość znajdzie ujście w foxtrotach.

Wykonanie walca z operetki „Bajadera", „Całuję się w Benares" przez Lucynę Szczepańską budzi pewne zastrzeżenia. Artystka ta ma zadużo słów do wyśpiewania, co, mimo dobrej dykcji, wychodzi bardzo źle głosowo — dźwięki zlewają się w niewyraźny chaos. Druga część dużo lepsza, pozwala zabłysnąć pięknemu sopranowi. Walc z operetki „Marica" przyjemniejszy i mniej hałaśliwy w partji orkiestrowej.

Doskonała płyta w wykonaniu Andrzeja Boguckiego dowodzi, że wspaniały głos niezawsze jest niezbędny. Bogucki to typowy diseur w rodzaju Maurice'a Chevalier, o niezawodnej dykcji, inteligentnej interpretacji i swoistym charmie. Foxtrot „Miłość pierwsza" odznacza się świetnym rytmem i przyjemnie niemądremi słowami (t. zn. jak na poziom szlagierów słowa te są wyjątkowo dobre)! Walc „Jeśli kochasz mnie" odznacza się przedewszystkiem barwą stonowaną i przystosowaną do głosu Boguckiego, mimo to płyta ta nadaje się do tańca lepiej, niż wiele innych, głośnych i krzykliwych.

Dla odmiany znowu tanga i to znane nam już dawniej, obecnie w nowem nagraniu chóru Juranda: „Graj skrzypku", „Jak cień", „Daremnie prosisz". W tem ostatniem należy podkreślić interesujące zakończenie — bardzo dobry gwizd. Mimo że chór Juranda rozporządza bardzo pięknemi głosami w solowych partjach, akordy brzmią okropnie, miejscami nawet nieczysto. Należałoby zmienić harmonizację monotonną i banalną, a poziom wykonania zyskałby wiele.

Na zakończenie piosenka z filmu „Kocham wszystkie kobiety" p. t. „Musisz w tę noc moją być", w której Aston robi konkurencję Kiepurze. Przyznam się, że teraz tango brzmi ładniej i naturalniej; w wykonaniu Kiepury było raczej arją operową. Z drugiej strony płyty udany slowfox Brodsky'ego „Usłysz mnie".

H.

Loda Halama w Berlinie



Świetna tancerka Loda Halama (na fortepianie) i znakomity śpiewak Jerzy Czaplicki (przy fortepianie) podczas próby do występów w berlińskim teatrze Komödie.

ŚWIAT FILMU

„MELODJA WIELKIEGO MIASTA".

Bałtyk.

Rewje wokalno - taneczne po ogromnym sukcesie z przed paru lat zostały zepchnięte z desek wielkoscenicznych na drugo- i trzeciorzędne estradki, aby zakończyć swój efemeryczny żywot w zapomnieniu. Poprostu z braku nowych tematów i efektów przeżyły się. Ustąpiły miejsca rewjom filmowym, w których reżyser, mając prawie nieograniczone możliwości techniczne, może stworzyć efekty optyczne i dźwiękowe wprost nieprzeciętne. Wyzwolony z kajdan bezruchu niewielkiej powierzchni sceny, operując przestrzenią i dynamiką, może porwać i zachwycić.

Film „Melodja Wielkiego Miasta" (Broadway's Melody 1936) jest właśnie taką rewją filmową, urozmaiconą nikłą akcją, wiążącą poszczególne fragmenty.

Niestety, rewij tych było już zbyt dużo, aby mogły być nowe. Stare motywy powtarzają się ciągle. Wszystko to już było. Po „Tańczącej Wenus", „Poszukiwaczkach Złota", „Wesołej Rozwódce" każdy następny obraz jest zlepkiem jednakich sytuacyj, podobnych melodyj, prawie identycznych atrakcyj.

„Melodja Wielkiego Miasta“ nie przynosi nic nowego. Temat banalny i ograny, filmowany ze wszystkich możliwych stron, efekty rewjowe znane i wielokrotnie oglądane.

Młody, przystojny dyrektor teatru montuje znanym z wielu filmów sposobem wielką rewję inauguracyjną. Z kłopotów materjalnych wyzwala go bogata wdówka, finansująca imprezę, aby w niej zadebjutować. Robert Taylor szuka jednak gwiazdy o wielkiem nazwisku.

Po wielu zabawnych perypetjach i nieporozumieniach główną rolę otrzymuje czarująca prostotą i wdziękiem Eleanor Powell. Oglądamy z przyjemnością próby i fragmenty rewji. Eleanor Powell porywa świeżym bezpretensjonalnym głosem, podbija naturalnością i urodą. Przemiła dziewczyna. I jak tańczy!

Strona muzyczna i dekoracyjna filmu opracowana jest starannie i efektownie. Znakomicie wytrenowane ładne girlsy, fenomenalni tancerze i oryginalna interpretacja piosenek pozwalają nam miło spędzić wieczór.

Zabawny epizod z „profesorem chrapania“, poznającym typy i charaktery na podstawie sposobu chrapania, przyczynia się wydatnie do rozweselenia widza.

Nadprogram krótkometrażówka P. A. T-a „Z wiatrem“. Dobrze zrobiony film propagandowy żeglarski, szkoda że w okresie zimowym mało aktualny.

J.

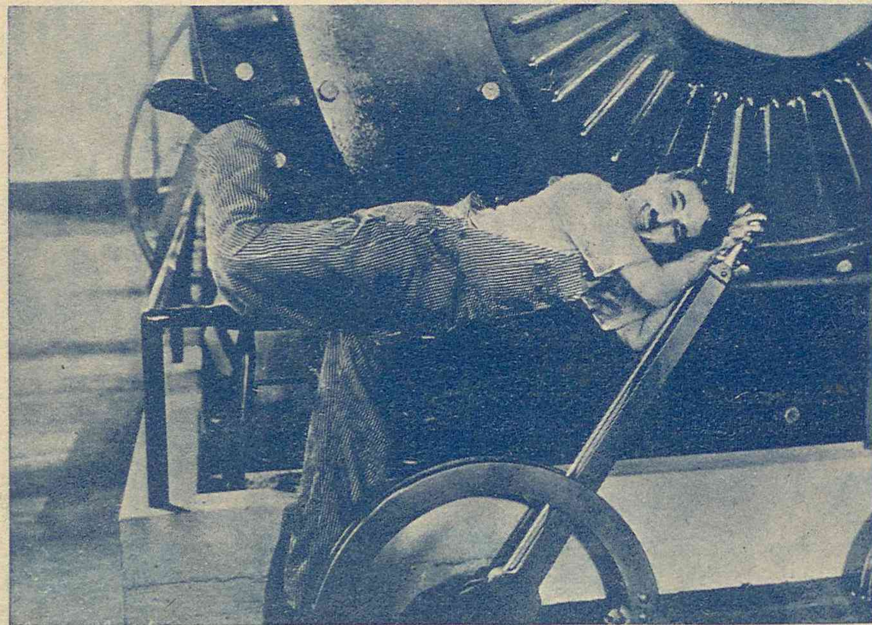


Chaplin w swym najnowszym filmie wraz ze swą najnowszą żoną.

ŻONY CHAPLINA I JEGO NOWY FILM

Dwie poprzednie żony Chaplina przyjechały niedawno i osiedliły się w Londynie. Według jednej wersji przybyły one nad Tamizę, aby asystować na premjerze nowego filmu genjalnego Charlot'a; według drugiej wersji obliczyły one bardzo merkantylnie swój przyjazd, pragnąc, aby *ich* debiuty londyńskie zbiegły się właśnie z nowym filmem. O tym filmie wieści z atelier głoszą cuda. Główną rolę kobiecą gra w nim ostatnia żona Chaplina, Paulina Goddard. Podobno nowa kreacja Chaplina przechodzi wszystko, co dotąd osiągnął znakomity artysta.

Lita Grey, którą Chaplin poślubił gdy miała 16 lat, śpiewa obecnie w Café de Paris, a Mildred Harris otworzyła nowy nocny kabaret, nazwany Okrętem Luxusu. W obu tych przybytkach nie można dostać miejsca na długo przed przedstawieniem. Publiczność się tłoczy. Kasa i przekupnie biletowi robią złote interesy. Tytuł „byłej żony“ Chaplina stał się pierwszorzędną reklamą.



REDAKTOR *L. CHRZANOWSKI*. Wydawca: „ŚWIAT“ Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona“, Warszawa.